

PARADA

K IV

NIEDZIELA, 10 LUTEGO 1946 R.
SUNDAY, FEBRUARY 10, 1946

Nr 4 (74)

EGZEMPLARZA: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d.,
we Włoszech 12 lirów, we Francji 5 fr., w Niemczech 1 Mrk.



Posiedzenie inauguracyjne Organizacji Zjednoczonych Narodów



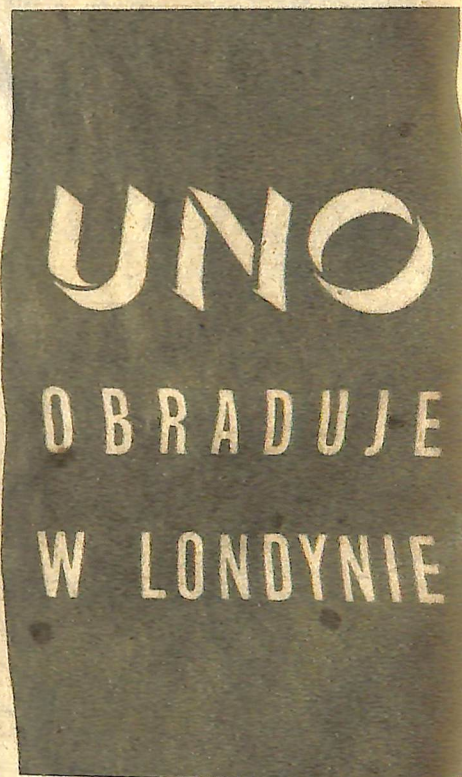
Paul Henri Spaak, przewodniczący ogólnego zebrania OZN



Amerykański sekretarz stanu, James F. Byrnes



Ernest Bevin, brytyjski minister spraw zagranicznych

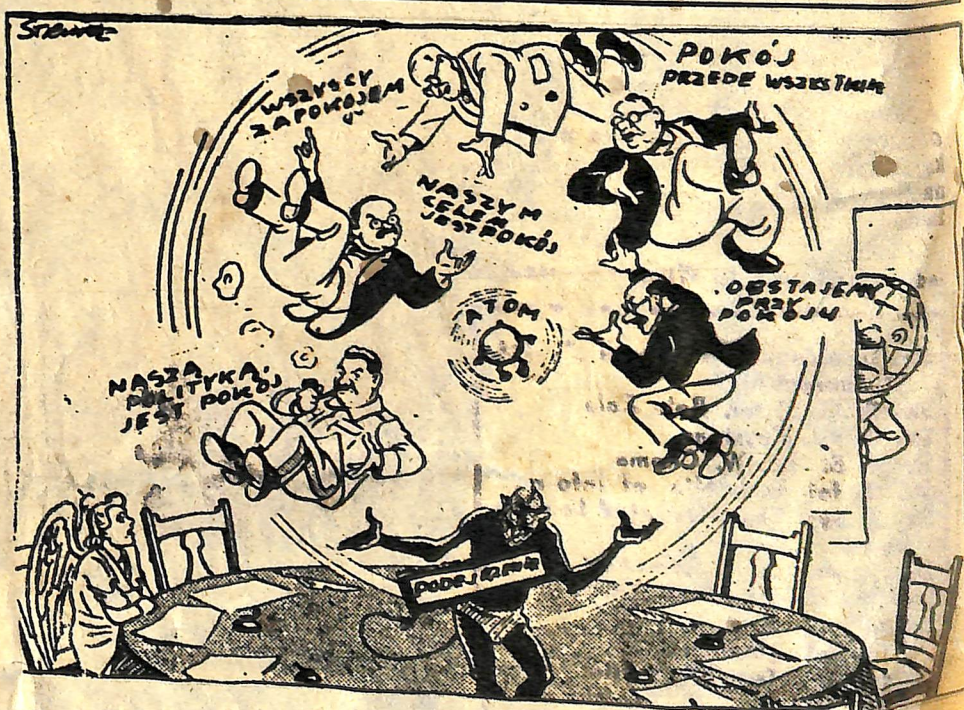


W dniu 5 stycznia bieżącego roku statek „Królowa Elżbieta” przywiózł do Wielkiej Brytanii 160 delegatów na pierwszą sesję ogólnego zgromadzenia Narodów Zjednoczonych, która została otwarta w Central Hall w Westminsterze w dniu 10 stycznia br.

W rzeczywistości Londyn już w chwili zakończenia konferencji w San Francisco stał się główną siedzibą nowej organizacji, nad Tamizą bowiem urzędowała Komisja Przygotowawcza Organizacji Zjednoczonych Narodów. Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zamianowało specjalnego sekretarza Mr. Gladwyn Jebba, któremu powierzono zorganizowanie wielkiego sekretariatu oraz administracji Ogólnego Zgromadzenia OZN. O rozmiarach zadania tymczasowego sekretariatu świadczy wymownie fakt, że z jego wydziełu dokumentów wyszło w okresie sierpnia 1945 do Nowego roku 2,5 miliona stron pisma maszynowego, to jest około 16,5 tysiąca tomów. Piękna biblioteka!

Sekretariat OZN usadowił się w Church House, natomiast delegaci na sesję ogólnego Zgromadzenia obradują w Central Hall w Westminsterze.

Na sali obrad zainstalowano wszelkie możliwe urządzenia techniczne, nie wyłączając głośników najnowszych systemów, by na galerii, gdzie pracują dziennikarze, słysać było każde słowo. W gmachu byłej ambasady niemieckiej Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zorganizowało specjalny Departament Konferencyjny. Na czele tego Departamentu stoi płk. Codrington. Departament dzieli się na szereg sekcji, które zajmują się dostarczaniem mieszkań dla członków delegacji, transportem itd. Każdy szef delegacji przybyłej na pierwszą sesję OZN otrzymuje do swej dyspozycji luksusowy samochód, opatrzony specjalnymi znakami koloru jasno czerwonego. Samochody te korzystają z pierwszeństwa w ruchu ulicznym. Istnieje również specjalna sekcja, która ma za zadanie udostępnienie przybyłym członkom zagranicznych delegacji zapoznanie się z najbardziej interesującymi instytucjami naukowymi i przemysłowymi Wielkiej Brytanii. Kinoteatr West End Cinema zarezerwowany został całkowicie dla członków Ogólnego Zgromadzenia OZN, celem wyświetlania przodujących filmów brytyjskich — oczywiście bezpłatnie.



Samotny Pokój...

W czasie 31 lat moich podróży nie zdarzyło mi się spotkać takich metod traktowania ludzi jak w Polsce. Jestem byłym marynarzem handlowym i właściwie zwiedziłem wszystkie kraje świata. 13 lipca 1945 roku wyjechałem do Warszawy jako jeden z pierwszych sześciu członków sztabu Ambasady Brytyjskiej. Podróżowaliśmy samolotem przez Berlin do Warszawy. Po przybyciu zamieszkaliśmy w hotelu „Polonia”, po czym bezpośrednio przystąpiłem do mojej pracy. Przez pierwszy tydzień nie opuszczałem biura od 8 rano do 10 wieczorem i dopiero później miałem możliwość zwiedzenia miasta. W czasie moich obserwacji natknąłem się na pewne fakty, które doprowadziły mnie do przekonania, że chociaż Niemcy byli bardzo źli — nasi sprzymierzeńcy Rosjanie, według mojej opinii, są równie źli, jeśli nie gorsi. Sądzę, że naród polski ma prawo trwać i odmówić poddania się tzw. „oswobodzicielom”, którzy dopuszczają się najstraszniejszych czynów w tym kraju.

Polska jest krajem wielkich przeszczerzeń i równie wielkich możliwości, gdyby oczywiście nie była rządzona przez swoich „oswobodzicieli” lecz przez samych Polaków. Obecny „lubielski polski rząd” najzupelniej nie zdołał zdobyć zaufania narodu. Czy zdajemy sobie sprawę w Anglii, co dzieje się w tym kraju?

Wydaje mi się, że nie zdajemy sobie z tego sprawy i myślę, że winniśmy być dokładnie poinformowani co można, czy należy zrobić w celu ustabilizowania trwałego pokoju w Polsce.

Jak dotąd nie ma tam żadnej polityki cen i niemal wszystkim rządzą czarny rynek. Za banknot jednofuntowy otrzymuje się 600 złotych, a za 5 dolarów 1200 złotych. W restauracji hotelu „Polonia” za śniadanie składające się z dwóch jaj, trzech kromeczek chleba z masłem i dwóch filiżanek kawy płaci się 540 złotych. Wystarczy obliczyć, jak wiele byłoby to w walucie angielskiej — znacznie więcej, niż by trzeba zapłacić w Savoy'u lub jakiejś innej drogiej restauracji londyńskiej. Obecnie wielu Polaków pracuje za wynagrodzeniem 1000 złotych miesięcznie, przy cenie 50 złotych za jeden bochenek chleba. Cóż tedy pozostaje z pensji dla zaspokojenia innych potrzeb?

Wielu Polaków, którzy uważają Anglików za najszlachetniejszych ludzi na świecie, pytało mnie ze wzruszeniem: „Dlaczego Anglia nie zaopiekuje się nami i nie da nam możliwości nowego startu?”

Trudno jest sobie nawet wyobrazić jak ludzie są zmuszani do oczyszczania ruin gołymi rękami (tylko niektórzy mają łopaty), podczas gdy Rosjanie pilnują ich z karabinami i pistoletami. Poza tym nikt nie jest pewny wychodząc po zmroku, a całą noc rozbrzmiewają wybuchy i słychać serie z broni automatycznej. Mówiono mi, że wybuchy te spowodowane są wysadzeniem ruin nad rzeką, gdzie były dawniej mosty, lecz w następnych dni nigdy nie zauważyłem żadnych zmian w tych rumowiskach.

W DZISIEJSZEJ POLSCIE

Napisał: AMBROSE BERNARD DOYLE

Poniżej zamieszczamy w przekładzie artykuł Ambrose Bernard Doyle, drukowany w styczniowym numerze „World Review”. Autor w roku 1945 był funkcjonariuszem Ambasady Brytyjskiej w Warszawie. Tytuł oryginału: „Poland Today”.

A oto garść faktów. Idąc ulicą, widziałem trzech rosyjskich oficerów, jak zatrzymali dwie młode dziewczyny, 17 lub 18 letnie. Jedna, która opierała się została postrzelona w udo, a następnie zgwałcona. Jeśli to mamy uważać za „uwolnienie” to opinia publiczna (w Anglii) powinna być o tym poinformowana.

Inne fakty: Dlaczego Rosjanom wolno obrabowywać Polaków z mebli, ubrań, maszyn i środków żywności? Widziałem na własne oczy ciągnące poprzecz Warszawę całymi godzinami i dniami 3 milowej długości konwoje idące na wschód. Rosjanin, gdy pyta się o godzinę, jak tylko zobaczy zegarek zabiera go. Jeśli ktoś stawia opór zostaje zastrzelony na miejscu. Tą samą metodą stosują do każdego, który ma całe buty na nogach. Musi je oddać na ulicy.

Są również inne rzeczy, których zupełnie nie rozumiem. Pierwsze dwa okręty, które przybyły do Gdyni z Hull przywiozły Rosjan. Dlaczego zostali oni repatriowani do Polski a nie do Rosji poprzez Murmańsk? Transport kolejowy między Polską a Rosją jest trudny. Dlaczego zatem wysadzono ich w Gdyni zamiast w Murmańsku, który jest portem ich ojczystego kraju? Odpowiedź na to jest tylko jedna — Rosjanie nie chcą „zachodniomysłowych” ziomków w swoim własnym kraju i wolą stacjonować ich w Polsce.

Teraz podzielę się z wami moją własną opinią w odniesieniu do tego, co powinno i mogłoby być zrobione. Po pierwsze dlaczego tak wiele robimy dla naszych wrogów, podczas gdy Polska, która walczyła tak bohatersko po naszej stronie i była naszym pierwszym sojusznikiem porzucona jest w rozpacz? Sposób, w jaki Polska jest traktowana winien być ukazany w pełnym świetle w Izbie Gmin i w brytyjskiej prasie codziennej. Jest niedostateczne, gdy sprawy te porusza tylko

kilka odważnych pism takich jak World Review.

W pierwszym rządzie dlaczego nie pozwolić Polakom na utworzenie własnego rządu zgodnie z ich wolą, co wpłynęłoby na zatrzymanie masowych aresztowań, dokonywanych w całej Polsce przez „oswobodzicieli”. To wszystko ma na celu utworzenie z Polski 17 republiki sowieckiej.

Jest rzeczą powszechnie znaną, jak wspaniale żołnierze polscy walczyli w czasie tej wojny. Dziś, kiedy wojna jest skończona, nikt o nich nie pamięta. Na przykład, obchodziliśmy rocznicę bitwy o Anglię nie wspominawszy nawet o polskich eskadrach, mimo że niemal połowa lotników, którzy brali udział w tej bitwie, to byli Polacy. Słowo podzięków czy uznania nie padło pod adresem Polaków.

Przyczyną mego powrotu do Anglii był fakt, że zachorowałem i drogą lotniczą, na skutek zalecenia amerykańskiego lekarza — via Berlin przetransportowano mnie do Croydon. Mówiąc otwarcie, ja sam postarałem się o to, aby powrócić do domu jako chory, ponieważ nie mogłem znieść chwilowej postawy naszych urzędników — jeżeli chodzi o pomoc Polakom czy o opór wobec nacisku rosyjskiego.

A oto garść innych faktów, które zaobserwowałem na ulicach: Na głównej arterii prowadzącej do pięknego niegdyś mostu na Wiśle, dziś wysadzzonego, aresztuje się kilkunastu ludzi każdego dnia. To jest zjawisko codzienne, więcej nawet, zdarzające się pięć i sześciokrotnie w ciągu dnia i nie tylko na ulicach lecz również w domach.

Obserwując to wszystko postanowiłem odwiedzić Pragę, która jest przedmieściem Warszawy. Przekonałem się na miejscu, że na Pradze nie jest wszystko zrównane z ziemią jak w samym mieście, lecz niemiędy domy znajdują się w stanie godnym poza-

towniania. Na jednej z ulic spotkałem młodą panią, która ku mojemu zdziwieniu mówiła pięcioma językami, w tym płynnie po angielsku. Owa młoda kobieta pracowała w miejscowej rozgłośni radiowej. Byłem u niej na herbacie i poznałem jej siostrę, świeżo wypuszczoną z obozu koncentracyjnego w Niemczech. Gdyśmy potem wyszli na spacer, koło stacji kolejowej zobaczyłem kilka wagonów towarowych załadowanych cywilami. Zapytałem się mojej towarzyski dokąd ci ludzie jadą, bo wydało mi się to raczej dziwne. Ku mojemu zdumieniu odpowiedź brzmiała, że tych ludzi wywozi się na przymusowe roboty do Rosji. Wywarło to na mnie okropne wrażenie. I pomyśleć, że sądzi się, iż Polska jest wolna, podczas gdy tego rodzaju praktyk dopuszcza się w tym kraju jeden ze sprzymierzonych narodów.

Po mojej wizycie na Pradze wróciłem do miasta. W hotelu, w którym mieszkali członkowie brytyjskiej i amerykańskiej ambasady oraz rosyjskiej misji wojskowej — przeprowadziłem rozmowy z kilku oficerami rosyjskimi. Poprosiłem dwu z nich na wódkę. W pierwszym rządzie ustaliłem, że mi nigdy nie brakuje pieniędzy, a to dzięki temu, że drukują swoje własne banknoty nie sygnowane przez nikogo a posiadające jedynie cyfrę reprezentowanych złotych i jakiś napis po polsku. Tego rodzaju waluta niezmiernie sprzyja rozwojowi czarnego rynku. Następnie zapytałem dlaczego tak wolno odbywa się ich powrót do Rosji i czy nie byłoby szybciej, gdyby sprzęt przetransportowano samochodami. Odpowiedź brzmiała: my gromadzimy cały nasz sprzęt wzdłuż drogi powrotnej. Zapytałem jak należy to rozumieć. Odpowiedzieli, że większość zdobyczy, którą wysłała się do Rosji, została zabrana Polsce jako zadośćuczynienie za „oswobodzenie”.

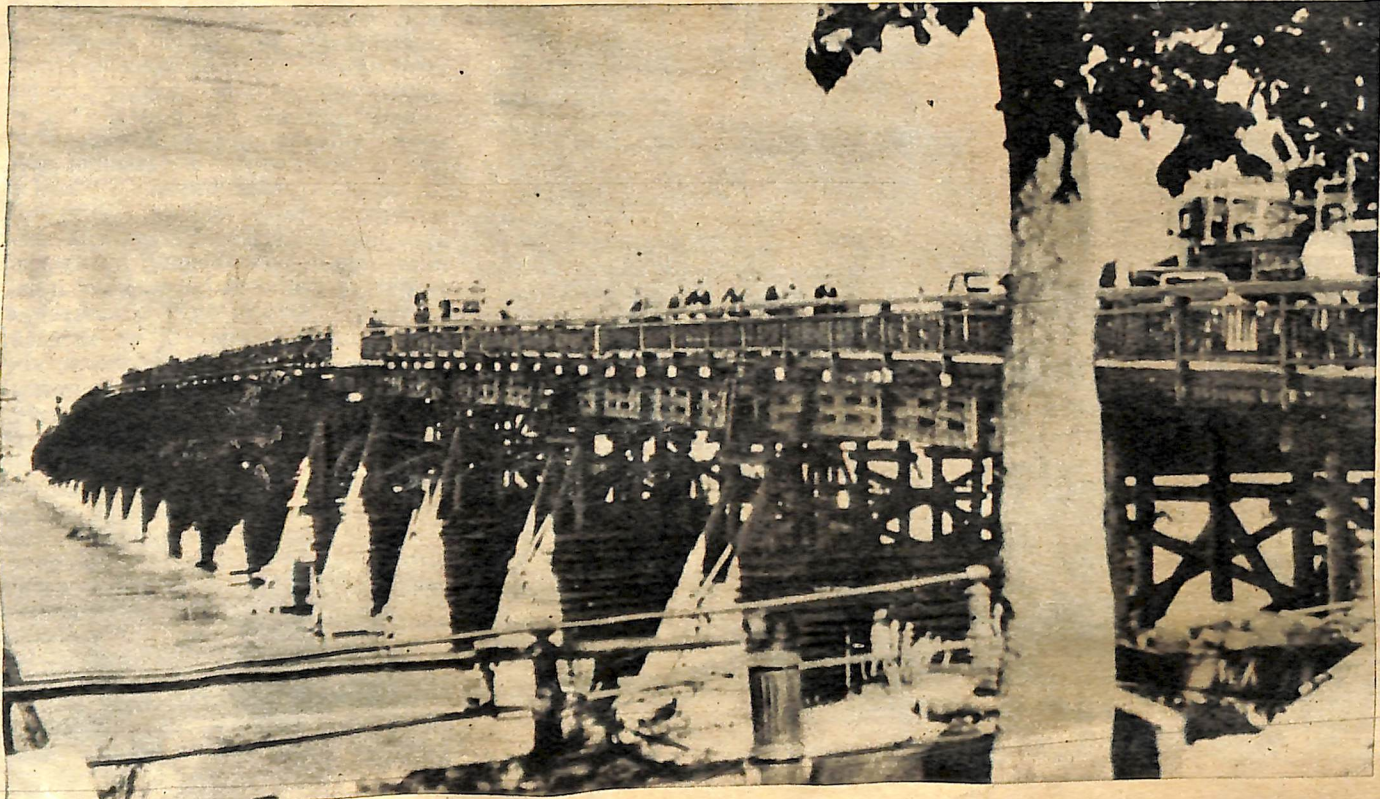
Jest rzeczą zdumiewającą, jak wiele można wydobyć z Rosjanina, gdy jest podchmielony. Moi rosyjscy rozmówcy wyrażali się również raczej obelżywie o „kapitalistycznym zachodzie” i mówili poufnie, że ich następnym „miejscem postoju” będzie Londyn.

Na końcu chciałbym powiedzieć, że byłoby znacznie lepiej dla nas jak i dla innych narodów, gdyby cała Polska była okupowana przez siły międzynarodowe. Po pierwsze oznaczałoby to wstrzymanie masowych aresztowań i deportacji, które stale jeszcze są przeprowadzane. Po drugie powstrzymałoby to rosyjskich uciekinierów, którzy przyjeżdżają, by okupować Polskę — proces, który odbywa się obecnie na wielką skalę. Gdy temu wszystkiemu nie położą się kresu, setki tysięcy Rosjan załadnią będą Polskę a miliony Polaków uwięzionych będzie w Rosji.

Jedyny dziś most na Wiśle w Warszawie

- Str. 1: okładka „Komandos”, fot. O. Szumański
- Str. 2: (1, 2) fot. Bela Zola
- Str. 3: fot. Keystone
- Str. 4, 5: fot. W. Choma
- Str. 5: fot. Br. Min. of Inform.
- Str. 7: rys. The Illustrated London News
- Str. 8 i 9: fot. A. Romański
- Str. 10 i 11: fot. Mary Mollo, „Parade”
- Str. 11: fot. „Victoire”
- Str. 12: fot. Two Cities Film
- Str. 13: fot: 1) T. K. Sowiński
2) M. Nikon
- Str. 14: fot: 1) Stellman
- Str. 16: okładka, fot. Two Cities Film

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI



WŁADYSŁAW CHOMA

SZKOŁY POWSZECHNE W KARPACKIEJ

Korespondencja własna „Parady”

Niedawno czytaliśmy w „Paradzie”, że 1000 żołnierzy kształci się w Gimnazjum i Liceum 3 DSK. W międzyczasie powstały jeszcze gimnazja: kupieckie, rolnicze, elektryczne oraz kursy: rolniczy, melioracyjny i budowy dróg, co liczbę uczniów, kształcących się na poziomie szkoły średniej podwyższa do 1.500.

Byłoby jednak wielką jednostronnością myśleć tylko o przygotowaniu kadr inteligencji, a zapominać o żołnierzach, którzy nie tylko nie mieli sposobności ukończenia pełnej szkoły powszechnej, ale w wielu wypadkach nie zdołali nauczyć się czytać i pisać.

Tego błędu nie popełniono i mimo znacznego obciążenia oddziałów służbą wartowniczą, powstało w początkach listopada 1945 r. 25 szkół z 2630 uczniami. Są to zupełnie prawidłowo zorganizowane szkoły powszechne, gdzie żołnierze zwolnieni od służby lub pełniący ją tylko w ograniczonej ilości, pod kierunkiem nauczycieli pracują po 4 godziny dziennie, nie licząc nauki domowej, jako pracy własnej.

Uczniowie mieszkają razem i zorganizowani są w osobne plutony lub baterie, a jeżeli nawet idą na wartę, to na kilka dni odchodzi cała szkoła razem z nauczycielami, aby i w czasie służby nie zerwać całkowitego kontaktu z nauką.

Zorganizowanie pracy szkolnej w oddziałach wygląda na ogół dość podobnie, w szczegółach jednak mogą zachodzić pewne różnice, a to zależy od warunków lokalnych, zespołu nauczycieli i nastawienia do spraw nauczania. Nie jesteśmy aniołami i nie można się dziwić, jeżeli i w tym wypadku mają ludzie różne poglądy. Wspominam i o tym, aby dać prawdziwy obraz warunków pracy.

Tu zaraz trzeba podać inny moment dość rzadko spotykany w dzisiejszym życiu. Do organizacji szkolnictwa powszechnego przystąpiono fachowo i o przydziale funkcji decydowało wyłącznie przygotowanie zawodowe. Kierownikami szkół są ludzie, którzy to stanowisko zajmowali w Polsce. Mamy tedy kierowników szkół w stopniach kapitanów, poruczników i podporuczników, ale też mamy znakomicie postawione szkoły, którymi kierują szeregowi, co wcale nie przeszkadza, że nauczycielami w tych szkołach są oficerowie. Pan sierżant był w Polsce kierownikiem szkoły III stopnia, pan porucznik młodym nauczycielem i kiedy dziś pracuje w tej samej szkole powszechnej, porucznik zgłasza dowódcy baonu chęć pracy w szkole pod kierunkiem sierżanta. Istnieją w szkołach Rady Pedagogicznej, opiekę nad całością sprawuje inspektor szkolny. Jak dalece poważnie traktuje się należyte prowadzenie szkół powszechnych niech świadczy o tym fakt, że nauczyciele dalej się dokształcają. Był już dwutygodniowy kurs metodyczny dla nauczycieli niekwalifikowanych (74 uczestników) oraz trzypięciodniowa konferencja dla nauczycieli kwalifikowanych (65 uczestn.). Obecnie odbywają się dla zgrupowań brygadowych konferencje rejonowe, na których — jak za dobrych czasów — są dwie lekcje i aktualny referat oraz dyskusja. A potem, też jak za dawnych czasów, podziękowanie prelegentom, wspólny obiad, powrót i... plotkowanie. (Tu trzeba dodać, że uczą tylko mężczyźni).

Wyposażenie klas w konieczne sprzęty i pomoce naukowe, to z jednej strony całkowite poparcie i pomoc materialna ze strony dowódców, z dru-

giej zaś rzadko spotykana zapobiegliwość kierowników szkół, nauczycieli i oficerów oświatowych. Po sześciu latach wojny, kiedy odzwyczajiliśmy się od normalnej pracy codziennej, się od normalnej pracy codziennej, wierzyć się nie chce, że są jeszcze ludzie, którzy wiele godzin poświęcają na przygotowanie obrazów, wykresów czy liczbowych zestawień, aby tym posłużyć się w czasie lekcji i przyczynić się do zrozumienia tematu przez ucznia. Są szkoły, w których przygotowuje się na powielaczu czy tanki, mapy konturowe, przepisuje się całe podręczniki, słowniki ortograficzne, słowem dokłada się wszelkich starań, aby uczniowi umożliwić osiągnięcie należytych wyników pracy. Zaniechanie należytych wyników jest duże potrzebowanie podręczników jest duże i nie mogą tego zaspokoić ani przydziały Wydziału Oświaty 2 Korpusu, ani też przez Referat Oświaty 3 DSK powielane streszczenia podręczników.

Celem szkół powszechnych dla żołnierzy jest całkowite wytypowanie analfabetyzmu, a w wyższych klasach osiągnięcie tych wyników nauczania, które naznacza program szkoły powszechnej. W realizacji tego programu chcemy szczególnie uwzględnić punkty, które przyczynią się do zrozumienia tych zagadnień, z którymi żołnierz spotyka się na kursach wojskowych.

Nie pomijamy tu celu praktycznego. Chcemy, aby w szkole żołnierz nauczył się nie tylko tego, co mu jest potrzebne, ale aby też otrzymał pełnowartościowe świadectwo i dlatego po ukończonym kursie (koniec lutego 1946), odbędą się egzaminy przed komisją, mianowaną przez Delegata Ministra WR i OP.

A teraz przyjrzyjmy się naszym uczniom. Są oni różni co do wieku, posiadanych wiadomości i pochodzenia. Ciekawe, że większość to Polacy z kresów zarówno wschodnich jak zachodnich.

Kiedy na wyższym stopniu nauczania widzimy młodych chłopców, w klasach początkowych spotykamy znaczną ilość starszych żołnierzy. Są nawet po czterdziestce. I w tym wieku chcą się jeszcze nauczyć czytać i pisać. Oto siedzi w ławce szkolnej starszy wiekiem żołnierz. Rocznik 1902. Mózgownie wypisuje pojedyncze litery i z trudem kleci całe wyrazy. Poci się przy tym więcej, niż przy ciężkiej fizycznej pracy, ale zapału nie traci i wierzy, że szkołę ukończy z dobrym postępem. Jest bardzo zadowolony z tego, że obecnie podpisuje listę żołdu pełnym imieniem i nazwiskiem, zamiast kreślenia krzyżyków, co dawniej czynił.

W innej szkole spotykamy żołnierza, którego nauczyciel uważa za szczególnie pilnego. Rocznik 1901. Pochodzi z Polesia. Ma 4 synów w 2 Korpusie, żona z dwojgiem dzieci w Afryce. Synowie ukończyli szkołę powszechną w Polsce, jeden kończył ją na Srodkowym Wschodzie. Ojciec uczy się teraz pisać i czytać. „Dziś poprobuje napisać pierwszy list do żony. Obaczymy co powie” — mówi do mnie.

W szkole jednego z pułków artylerii uwagę moją zwrócił żołnierz, który pisał niezwykle starannie. Okazało się, że przed dwoma laty przybył do wojska jako zupełny analfabeta, obecnie jest w V klasie.

Uczą się nie tylko analfabeci, nie tylko ci, co chcą ukończyć szkołę powszechną, ale także absolwenci szkół powszechnych niemieckich i francuskich, którzy tam nie uczyli się po polsku i obecnie nie umieją pisać w języku ojczystym, a także mają kłopoty z poprawnym wyrażaniem się. Czynią oni szybkie postępy i wkrótce zajmują czołowe miejsca wśród innych uczniów klasy. Obserwacja uczniów szkoły powszechnej, którzy nierzadko są grubo starsi od swoich nauczycieli, dostarcza dużo ciekawych, a czasem i rozweselających spostrzeżeń.

Trzeba być bardzo ostrożnym, aby roześmianiem się nie urazić ucznia. Wydaje się czasem dziwne, że człowiek, który kawał świata przemierzył własnymi nogami, w boju dzielnie stawał, niejednego alianta okpić potrafił, nie umie elementarnych rzeczy. Zna on czasami dokładnie pewien dział, wchodzący w zakres jego obecnej lub przeszłej pracy, zadziwia nieraz pamięcią drobnych szczegółów, ale na tym koniec.

Ciekawie wyglądają lekcje geografii. Gdzie ci ludzie nie byli? Nauczyciel mówi o zorzy polarnej, a już zgłasza się kilku, którzy w warunkach nie wesołych, ale mieli sposobność oglądać to zjawisko, aż nadto długo,

będąc na zysłce w Rosji. Wspominają o Iraku, Iranie, Palestynie, Egipcie, Libii, Maroku, Algerze, Przymorskiej, Dobrej Nadziei, Francji, Rosji czy Niemczech, nawet Norwegii i zawsze znajdzie się wśród uczniów taki, co tam był.

Nie jest rzeczą łatwą uczyć takich ludzi, co pół świata zwiedzili, widzieli więcej, niż o tym pisać można, przeszli niejedno piekło, dokazali nie byle czego na froncie. Zapewne mieliby duży z tym kłopot nauczyciele cywilnych szkół, ale obecni nauczyciele, to przecież tacy sami żołnierze, podobne losy przechodzili, a prócz tego, co w świecie widzieli jeszcze coś niecoś w ksiąg uczonych wyczytali. I jeszcze jedno. Mógłby być najlepszy pedagog nawet w mundurze, ale jeśli to zatabaczony profesor, co poza kancelarią nie wyrzał, to jakże mu się równać z uczniem, którego pierś zdobią baretki K. W. czy nawet V. M. oraz odznaki za rany. Zaden. by najlogiczniejszy argument nie przeszkodzi lekceważącemu wzruszeniu ramion. „Bo widzisz bracie, mądry on, ten profesor, kiedy pyta o rodzaj prądu elektrycznego, ale ja chciałybym widzieć go, co robiłby wtedy, gdyby mu, jak mnie pod Osiem, w samochodzie przewody nawalily. Niemiec leje, jak jasny piorun, na wozie amunicja. Szukam, ręce mi się trzęsą; trzeba było tylko trochę izolacji. Naprawiłem i uciekłem z wozem”.

Nie wiem, czy to zbieg okoliczności, czy też istotnie ma to jakiś związek przyczynowy z zawodem nauczycielskim, dość, że pod tym względem nasz zespół pedagogiczny przedstawia się dobrze. Kierownik szkoły nie tylko o suchej destylacji węgla dobrze wie, ale na świątecznym mundurze baretki V. M., potrójnego K. W. i dwie gwiazdki za rany pierś młodziana zdobią, inni w tej i innych szkołach na pewno za naukę K. W. nie otrzymali. „Dusi nas i męczy tymi mądrościami, aż na człowieka ostatnie poty występują, ale sam też cały dzień w szkole siedzi i ciągle rysuje” — powiada żołnierz. „Panie — ciągnie dalej — ale chłop jak ta lala, kiedy pod Santa Lucia został ranny na początku natarcia, ani pisał. Dopiero po zdobyciu przedmiotu, zesłał i przyznał się, że ranny”.

Takich nauczycieli muszą uczniowie poważać, pod ich kierunkiem na pewno osiągną cele zarówno dydaktyczne jak i wychowawcze, bo byli — gdy tego zasła potrzeba — tak samo dobrymi żołnierzami, jak teraz nauczycielami.

Praca, która wymaga od nauczycieli sumiennego przygotowania, daje im jednak często sposobność doznania zadowolenia. Jest przyjemnie, gdy uczeń nie tylko „wydaje” lekcję, ale też dorzuca własne spostrzeżenia. W takich wypadkach lekcja ztraca swój suchy charakter a staje się wymianą zdań, dyskusją, wzajemnym opowiadaniem, z których zdolny nauczyciel zawsze wyciągnie korzyści, naznaczone w jego planie nauczania.

Jesteśmy dalecy od przejaśkrawiania, ale w obecnej pracy spotykamy wiele zjawisk, które w normalnych, pokojowych warunkach byłyby rewelacją. Inteligentny nauczyciel znajduje w swojej pracy momenty, których najśmielsza fantazja pedagogiczna stworzyć nie mogła.

Ilu obrazów i innych pomocy musiał niegdyś użyć, jeżeli chciał, aby słowo „pustynia” nie pozostało w pojęciu ucznia nazwą bez treści. Dziś jego uczniowie znają to dobrze, bo coś mówić o pustyni żołnierzom-uczniom z SBSK? Widzieli ją i poznali także ci z Rosji, bo przeszli Irak. Zapewne opowiadanie ucznia wymaga często dokładnej korektury i uzupełnienia, ale to nie zmienia sprawy, że mówi się z uczniem o rzeczy znanej, dla samego zaś nauczyciela jest ciekawe, jak te sprawy ujmuje uczeń, człowiek dojrzalszy. Kiedyś zastanawiano się nad tym, jaki okres życia człowieka jest najodpowiedniejszy do kształcenia się w szkole. Byli ludzie, którzy twierdzili, że najodpowiedniejszym okresem kształcenia człowieka to okres dojrzałości. Zdaje się to być paradoksem, a przecież na ogół tak jest, bo w tym okresie człowiek jest pod względem fizycznym i psychicznym dojrzały i całkowicie przygotowany do rozumnego przyjmowania wiadomości szkolnych. Takich dojrzałych uczniów właśnie mamy w szkole powszechnej dla żołnierzy. Wymieniliśmy wiele dodatków stron tego przy równoczesnym pod-

Szkoła powszechna 3 Baonu DSK

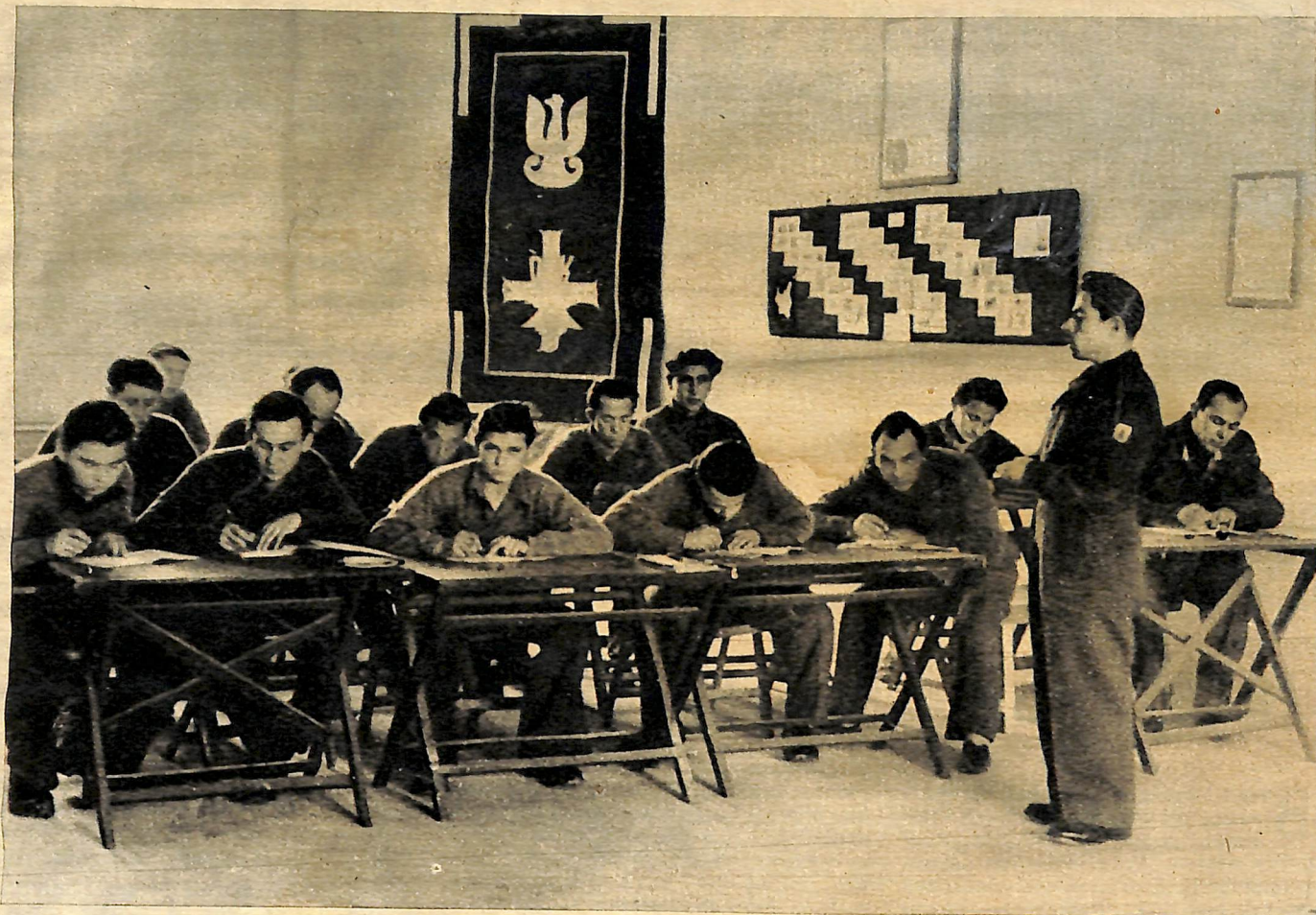


kreśleniu, że praca z nimi wymaga od nauczyciela dużych umiejętności i gruntownego przygotowania.

Jest jednak i odwrotna strona medalu. Poza wielu istotnie bardzo dodatnimi momentami, poza żołnierzami o wybitnej chęci do pracy, nie możemy zapominać i o tym, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy już siódmy rok są poza domem. Wojna nie tuczy, wojna nie uszlachetnia.

Wcale też nie pomijamy i tego faktu, że wśród naszych uczniów są i tacy, którzy nauczeni doświadczeniem wojennym szukają także sposobu wygodniejszego życia. Wiedzą oni dobrze, że lepiej jest udawać ucznia, niż pełnić wartę. Sprawiedliwie trzeba przyznać, że część takich zabrała się później do solidnej pracy, ale reszta musiała odpaść.

Wszystko to razem wzięwszy możemy spokojnie stwierdzić, że praca rozwija się normalnie. Jeżeli tak jest, to poza stworzeniem warunków takiej pracy, nie mały wpływ wywiera tu i tradycja. Te rzeczy nie są przecież nowością. Walkę z analfabetyzmem rozpoczęło w 3 DSK jeszcze w roku 1942 na terenie Palestyny, a potem Iraku. Wtedy mieliśmy więcej trudności do pokonania. Poza klimatycznymi były i służbowe. Lata 1942-43 to okres szkolenia bojowego żołnierzy przybyłych z Rosji i o zwalnianiu ich z ćwiczeń, przez najlepszej intencji dowódców, mowy być nie mogło. Znaleźli się jednak żołnierze chcący się uczyć i nauczyciele, którzy przy 40°C w cieniu lub wilgotnej zimie irackiej pracowali.



W szkole 9 Baonu DSK

RAKIETNICA LINOWA RATUJE GINĄCYCH



Załoga wodnopławca, który przymusowo wodował, nawiązuje łączność z okrętem za pomocą rakiety linowej

Tysiące żyć ludzkich zaoszczędził podczas wojny i niezliczone usługi oddaje obecnie prosty a niezmiernie pożyteczny wynalazek — rakieta linowa. W dramatycznych okolicznościach, towarzyszących walce z żywiołem, wyciąga ona długą, zbawienną dłoń do, zdawało by się na niechybną śmierć skazanych, ludzi. Marynarze za burtą, rozbitkowie, latarnicy, odcięci od świata na skutek przypływu, zawdzięczają życie temu wynalazkowi.

Rakieta linowa znajduje zastosowanie do różnego rodzaju potrzeb. Wyliczymy przykładowo niektóre. Służy ona do przerzucania lin holowniczych, do przycumowania statków, także do dostarczania węży gumo-

wych z okrętów na statki-cysterny. Na lotniskach używają jej do celów sygnalizacyjnych. W terenach górskich — do przeprowadzania wojsk przez wąwozy i żłebki oraz do zakładania kabli telefonicznych.

Obecnie każdy okręt wojenny i statek handlowy Wielkiej Brytanii jest zaopatrzonej w rakiety linowe. Ponadto — dla brygad ratowniczych, straży przeciwpożarowej, ekspedycji wysokogórskich rakieta linowa jest nieodzownym sprzętem. Dzięki niej można ratować ludzi z niedostępnych miejsc, z pływających lub walących się budynków, wykonywać prace przybrzeżne itd.

Zasady techniczne są niezmiernie proste. Rakieta linowa budową niewiele różni się od rakiety sygnałowej. Do rakiety-pocisku przyczepiony jest cienki, mocny sznurek, do którego z kolei przywiązana jest lin. Pocisk, wystrzelony w kierunku pożądanym, unosi ze sobą linę rozwijając ją jednocześnie siłą pędu ze szpuli, na której jest nawinięta. Zasięg maksymalny, uzależniony od wiatru i innych czynników, wynosi do 600 m.

Bezpośredni kontakt, nawiązany z osobą zagrożoną za pomocą liny, użycza jej siły — pomocy, ratunku.

K.



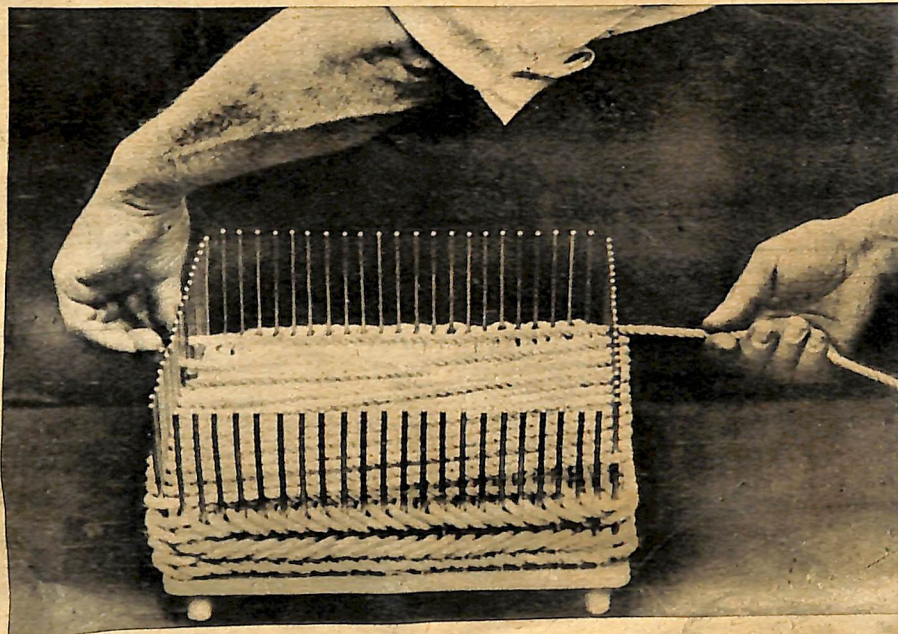
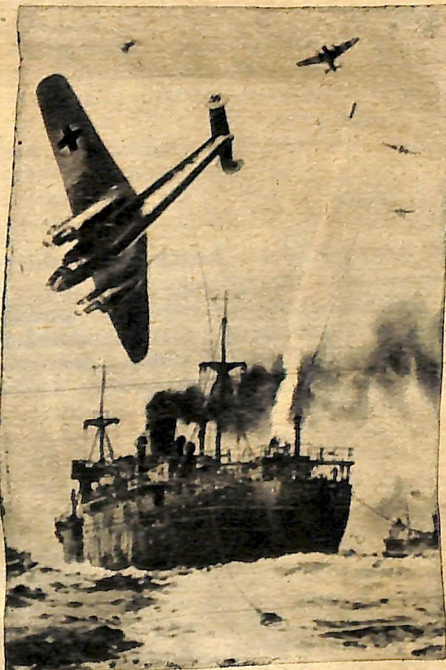
Rozbitkowie na skalistym wybrzeżu znajdują ratunek, dzięki raketce lin.

↓ Zakładanie liny

Rakieta linowa, gotowa do użytku



Fantastyczny rysunek Harolda Inga: zwalczanie samolotów nieprzyjacielskich. Liny, zawieszane w powietrzu na spadochronach, odgrywają rolę zapory



W PRZEDEDNIU PODRÓŻY

MIĘDZYPLANETARNYCH

II. PRZYSZŁOŚĆ TECHNIKI RAKIETOWEJ*)

Badani i praktycznego zastosowania rakiet dla celów wojennych i pokojowych nie powstrzymają już żadne względy. Przeciwnie, rywalizacja pchnie naprzód produkcję, udoskonali ją, upowszechni. Zaniechane nowo-uprzysiężonych możliwości technicznych w okresie bomb atomowych byłoby bowiem dla mocarstw równoznaczne z samobójstwem. Nowa wojna i nowy pokój — to era rakiety. Dawno przekroczyliśmy jej próg i cofnięcie się leży poza możliwościami ludzkimi. Rozumieli to Amerykanie. W 1945 roku — w roku formalnego zakończenia wojny w Europie i na Dalekim Wschodzie — przemysł amerykański wyprodukował sprzęt rakietowy wartości jednego miliarda dolarów.

Opanowane wynalazki niemieckie tworzą poważny kapitał techniczny do dalszych prac i masowej wytwórczości. Niemcy w dziedzinie rakietowej byli bardziej zaawansowani niż wszystkie inne państwa razem wzięte. W ostatnich miesiącach wojny zamierzali bombardować pociskami rakietowymi Nowy Jork i Boston. Brzmi to dla nas, sceptyków, fantastycznie, ale tym niemniej jest to prawda. Konstruktorzy spod znaku swastyki zbudowali model oskrzydłonej, sprężonej rakiety „A9-A10” (zob. rysunek), — długości 30 metrów, średnicy w najgrubszym miejscu 3 m — której zasięg jest niepomniernie wielki w porównaniu z V2, zasięg — transatlantycki.

Szef lotnictwa amerykańskiego, gen. Henry H. Arnold, omawiając w raporcie przesłanym do Sekretarza Wojny strategię przysiężności, utrzymuje, że najbliższa wojna nie potrwa dłużej niż 36 godzin. Czas ten w zupełności wystarczy do zniszczenia niewralgicznych ośrodków zaskoczonych przeciwnika, do dokonania straszliwych spustoszeń i zabicia milionów ludzi. Gen. Arnold wielkie znaczenie przywiązuje rakietom. Twierdzi on, że w najbliższej przyszłości rakietą zdolną będzie wznieść się na wysokość 3.000 km, a więc na wysokość absolutnej próżni, i przelecieć z szybkością 5.000 km na godzinę przestrzeń 15.000 km. Fantazja? Nie, stary lotnik-weteran nie jest fantasta, a jego raport bajeczką dla niegrzecznych dzieci. Gen. Arnold opiera swe twierdzenie na meldunkach Amerykańskiego Towarzystwa Rakietowego.

W oficjalnych enuncjacjach przemilczano się ekskretnie możliwość zastosowania energii atomowej w technice rakietowej. Dotychczasowe rakiety, np. V2, przenosiły na znaczną odległość 1 tonę TNT. Bomba atomowa, której ciężar wynosi podobno kilka kilogramów, odciąża, usprawnia i zwielokrotni skuteczność rakiety. Nasuwa się dalszy wniosek: zastosowanie energii atomowej do napędu. Obecne rakiety obciążone są olbrzymimi zbiornikami z paliwem i skroplonym tlenem, a silnik, wprawdzie bardziej prosty od tłokowego, jest wciąż dość skomplikowany. Co się stanie, jeśli skomplikujemy i napęd, i ładunek atomowy? Jest to akademickie pytanie, więc zostawimy je bez odpowiedzi. Warto

*) Zob. „Bomby latające i rakietowe”, Parada, nr 3(73), z dnia 27.1.46.

jednak zaznaczyć, że jeśli kontrolowana energia atomowa nie będzie się nadawała jako siła napędowa, zastąpi ją z powodzeniem płynny wodór monoatomowy, gdy zostanie wynaleziona metoda jego masowej produkcji.

Nawet przy obecnym stanie techniki i znanych środkach napędowych możliwości są ogromne, że wprawiają w zdumienie. Najważniejsze w rakiecie — to jej zdolność przenikania próżni. Silnik rakietowy wytwarza jednakową siłę ciągu we wszystkich strefach powietrznych, a więc i na wielkich wysokościach, gdzie panuje niska temperatura i niktne ciśnienie zewnętrzne.

Gazy wylatują z dyszy i rozprężają się przed jej przodem, powodując tym wzrost przysiężnienia i szybkości wylotowej. Dlatego nie istnieją dla rakiet granice wysokości.

Ciekawe są zamierzenia, znajdujące się obecnie w stadium realizacji, a mianowicie użycie rakiet dla celów pokojowych. Konstruktorzy amerykańscy pracują nad budową rakiet pocztowych. Jest to stara myśl, zarzucona, i jeszcze kilka lat temu uważana przez konserwatywnych inżynierów za zbyt śmiałą. Wyrzucanie na znaczną odległość listów, przesyłek pocztowych, a następnie i pasażerów jest możliwe po dokonaniu nieznacznych zmian w budowie rakiet V2. Zagadnienie, pozostałe do rozwiązania, zbiega się do dwu zasadniczych kwestyj: zwolnienie szybkosci, co dla obecnej wiedzy technicznej nie nastęrcza trudności. Składane skrzydła, które otworzą się samoczynnie na końcowym odcinku trasy, zmniejszą szybkość lotu i złagodzą lądowanie. Cenny ładunek od spalenia (rakietą z powodu tarcia rozładza się do białości), uchroni każdą rakietę, zbudowaną z podwójnych ścian, między którymi pracować będzie instalacja, obniżająca temperaturę za pomocą odpowiedniej chłodziarek. Zasięg rakiet pocztowych wyniesie początkowo 650 km (Kraków—Wilno) lub nawet 800 (Londyn—Zurich). Czas przelotu — 7,58 min.

Koszt transportu pocztu rakietowego będzie stosunkowo wysoki, ale wiele instytucji i osób prywatnych chętnie go pokryje ze względu na szybkość obsługi. Szybkość — to zresztą wszystko, co rakietą może ofiarować.

Pocztą będzie zachęcającym wstępem komunikacji rakietowej. Jeżeli regularnie pocztowe będą kursowały bezpiecznie i bezproblemnie, znajdzie się niewątpliwie wielu śmiałków, chętnych do tego rodzaju podróży. W ten sposób powstanie rakietowa komunikacja pasażerska. Nie będzie ona, rzecz jasna, współzawodniczyła z normalną komunikacją lotniczą, tak jak np. kolej nie rywalizuje z samochodem. Ludzie nadal będą latali samolotami, których szybkość ciągle będzie wzrastała. Amerykański Komitet Aeronautyki ujawnił ostatnio, że przeprowadził badania w tunelach aerodynamicznych z samolotami reakcyjno-strumieniowymi, osiągającymi szybkość 3.200 km na godzinę. Przy podobnej szybkości z każdego miejsca na kuli ziemskiej można dolecieć do antypodów w niespełna 7 godzin. Ludzie, dla których ta szybkość

nie będzie wystarczająca, skorzystają z komunikacji rakietowej. Warto będzie podroz rakietą z Europy do Ameryki potrwa 14 minut.

Pasażerska rakietą transatlantycka, zbudowana na wzór „A9-A10”, osiągnie ogromną szybkość i wysokość (25.000 km na godz., najwyższy punkt wzniesienia — 800, km). Szybkością będzie od startu do lądowania samoczynny zespół kontrolny. Reakcja ludzka jest zbyt powolna, aby pilot przy podobnej szybkości mógł pilotować nad lotem. Sekunda spóźnienia — to setki kilometrów przestrzeni. Pilot będzie raczej starszym pasażerem, a rola jego będzie bardzo ograniczona. Instalacje kierunkowe (omówione w poprzedniej części artykułu), zostaną zapewne uzupełnione nawigacyjnymi aparatami radiowymi (Loran). W czasie pokoju nie wchodzi bowiem w rachubę możliwości zdeklinowania toru rakiety przez podchwytywne stacje nieprzyjacielskie.

Odrębne zagadnienie — to wytrzymałość ciała ludzkiego na szybkość. Za czasów Stephensona lekarze nie wierzyli w rozwój kolei, bo... „serce ludzkie nie wytrzyma tak zawrotnej szybkości”. Mylili się szanowni eskułapowie, dziś wiemy, że człowiek bez szkody dla zdrowia może wytrzymać każdą szybkość. Posiadamy zresztą pod tym względem wspaniałą zaprawę: już w kołysce pędzimy wraz z kulą ziemską po orbicie słonecznej z szybkością 30,5 km na sek. (110.000 km na godz.) i nawet nie raczymy na to zwrócić uwagi. Najważniejsze, aby przysiężnienie było, jeśli nie jednostajne, to przynajmniej bez raptownych skoków. Ale i pod tym względem wytrzymałość ciała ludzkiego jest ogromna, np. lotnicy przeżywają niekiedy zmiany szybkości 9-krotnie wyższe od ich cielesnego ciężaru. Ta odporność ciała ludzkiego najzupełniej wystarcza do podróżowania rakietami.

Kwestia łagodzenia lądowania jest technicznie rozwiązana. W chwili startu, rakietą posiada ograniczoną szybkość początkową, z gwarantowaną prawem fizycznym. Przysiężnienie rakiety nie może przekraczać 3-krotnie przysiężnienia swobodnie spadającego ciała, gdyż w przeciwnym razie nie zdoła ona pokonać oporu atmosfery; w stratosferze to prawo nie ma zastosowania. Warunek przysiężnienia, narzucający wprawdzie zasady techniczne, oddala obawy co do wytrzymałości ciała ludzkiego w chwili startu.

Zgodnie ze swą konstrukcją, rakietą musi jak najszybciej zużyć paliwo i dalszą drogę przebiec jak pocisk. Pasażerowie będą zatem poddani w ciągu 2-3 minut ciągłemu przysiężnieniu, aż zostaną wyłączone silniki. Szczególnie krytyczny będzie dla nich moment spadku szybkości, gdy rakietą osiągnie punkt szczytowy i znajdzie się pod działaniem „wolnego” ciężaru ziemskiego. Pasażerowie na początkowym odcinku spadku toru przeżyją przedziwne uczucie braku ciężaru. Nie odczują oni ciężaru własnego ciała i będą mogli unosić się w kabiny jak duchy. W celu zabezpieczenia się przed potłuczeniem, będą nosili namagnesowane buty, bądź będą

wkładali stopy w skórzane uchwyty przytwierdzone do podłogi. Aby zapobiec lewitacji przedmiotów: narzędzi, waliz, poduszki — wszystko bez wyjątku będzie przywiązane. Jasne, że pasażerowie, odziani w specjalne skafandry, oddychać będą tlenem dopływającym z butel. Pilot będzie obserwował przyrządy kontrolne w pozycji leżącej.

Najbardziej fantastyczną stroną podobnego lotu będzie podróż... w czasie. Rakietą, lecącą niepomniernie prędzej od szybkości obrotu kuli ziemskiej naokoło osi, dostrzyczy niezapomnianych wrażeń. Podróżnik, im większą przebędzie przestrzeń, tym bardziej cofnie się w czasie słonecznym. I tak, np. jakiś zaferowany przemysłowiec czy dyplomata, wybierający się z Nowego Jorku do Los Angeles (4.000 km), po urzędowaniu zje obiad u siebie, odbędzie przysiężną drzemkę poobiednią, wyleci rakietą o godzinie 3 popołudniu i przybędzie na miejsce tegoż dnia... o dwunastej w południe.

Rakietą będzie można odbyć lot naokoło świata w przeciągu 83 minut. A więc, jeśli jakaś zakochana para spóźni się do kina, będzie mogła dla zabicia czasu wybrać się w podróż naokoło świata i wrócić na następny seans.

Od odbywania podróży rakietowych dzieli nas jeszcze pewien czas, potrzebny do rozwiązania trudności technicznych. Należy zwiększyć bodaj dwukrotnie siłę ciągu silnika, do czego jest niezbędny środek napędowy wydajniejszy od obecnych znanych; kontrolne, start i lądowanie. Trudności te — to szczegóły, które dla inżynierów są tak proste, że mogą być pokonane w krótkim czasie, jeśli znajdą się odpowiednie fundusze na przeprowadzenie doświadczeń. W teorii rakietą pasażerska jest gotowa. Należy sądzić, że fundusze wyasygnuje rząd USA, tak jak swego czasu olbrzymie sumy przeznaczył na badania lotnicze.

Prócz pasażerskich, projektuje się obecnie rakietę meteorologiczną. W przyszłości każde większe lotnisko będzie zasobne w wyrzutnie, za pomocą których będzie mogło — o kresowo — wystrzeliwać rakietę, w których znajdować się będą meteorologiczne przyrządy pomiarowe do badania atmosfery (Balony prof. Piccarda zostaną umieszczone w muzeum). Zsynchronizowanie tych badań pozwoli na skreślenie map powietrznych, umożliwi to przepowiadanie pogody nie tylko na godziny, ale na dni, tygodnie. Śledzenie zmian promieniowania słonecznego i górnej atmosfery dostarczy szczegółów, dzięki którym można będzie przewidzieć sezonowe opady, temperaturę, wiatry itp. Poznamy otaczający nas bezbrzeżny ocean przestrzeni, ustalimy czasokresy wahań ładunku elektrycznego w eterze, otrzymamy bezcenne wiadomości o wciąż nieznannej górnej atmosferze, o charakterze promieni kosmicznych, meteorach, ultrafioletowym promieniowaniu słońca.

Badania atmosfery i stratosfery za pomocą rakiet są możliwe już obecnie. Rakietą wyprodukowaną podczas wojny („A9-A10”), technicznie już przestarzała, pozwalają osiągnąć wysokość 320 km — wysokość dla współczesnych potrzeb naukowych aż nadto wystarczająca. Należy te badania sfinansować, zorganizować. Kryje się w nich bowiem aspekt zgoła inny: ziszczenie idei, którą ludzkość przechodzi od czasów starożytnych — wstęp do podróży międzyplanetarnych.

Teoretycznie podróż międzyplanetarna leży w granicach możliwości technicznych. Silnik rakietowy, pracujący bez dopływu powietrza z zewnątrz, a w górnych strefach pracujący coraz wydajniej, nie posiada granicy zasięgu. Zasięg rakiety jest uzależniony od ilości paliwa; paliwo w obecnie znanych gatunkach (spirytus metylowy i skroplony tlen) obciąża swym ciężarem rakietę, umniejszając jej zasięg, a więc — kwadratura koła. Gdyby zastosowano energię atomową, zagadnienie byłoby rozwiązane. Bez niej, przy obecnych środkach napędowych, można przedłużyć zasięg rakiety przez budowanie modeli sprężonych na wzór „A9-A10”, z których ostatnia rakietą będzie mogła donieść do celu mały ładunek, jakies urządzenie radiowe do badania powierzchni i klimat

matu planety i do przekazywania sygnałów. W ten sposób utrzymaliśmy, poraz pierwszy w dziejach świata, łączność z ośrodkiem pozaziemskim.

G. Edward Pendray — największy w Ameryce specjalista od spraw raketowych — niedawno opisał możliwości podróży międzyplanetarnych. Według jego obliczeń, opartych na założeniu, że rakietą użytą do tego celu będzie zaledwie dwukrotnie przewyższała mocą obecnie istniejące, możliwości są następujące: Rakietą transplanetarną, mającą donieść na księżyc 45-kilogramowy aparat radiowy, składać się będzie z trzech sprzężonych części, każda z odrębnym silnikiem i zespołem kontrolnym. Ciężar najmniejszej (ostatnia) — 405 kg, śred-

niej — 3.650 kg, największej — 32.400 kg. Razem przy starcie — 36,5 tony. Części poszczególne odłączą się samoczynnie z chwilą wyczerpania się ich energii i spadną na ziemię za pomocą spadochronów.

Opierając się na powyższej koncepcji (rakietą o podwójnej mocy ciągu, napędzana nie energią atomową a zwykłym paliwem) i obliczeniu, otrzymamy dla rakiet pasażerskiej międzyplanetarnej horrendalną sumę ciężaru przy starcie, co uniemożliwiłoby realizację tego zamierzenia. Uczestnicy tej niezwyklej podróży muszą przebywać w komorze odpornej na podciśnienie, posiadać ogromny zapas tlenu, żywności, wody, medykamentów oraz sprzęt, urządzenia ochronne i aparaturę radiową. Przyjmując zatem, że

ciężar podróżników wraz z pełnym wyposażeniem wyniesie 5 ton, rakietą przy starcie posiadałaby około... 38.000 ton.

Obliczenie powyższe jest przesadnie pesymistyczne. Pendray opiera się na ewentualnościach najmniej sprzyjających. Technika raketowa, mimo swych cudownych osiągnięć, znajduje się w okresie dzieciństwa i wypowiedziała dopiero swe pierwsze słowa. Co dnia mamy nowe udoskonalenia i szersze możliwości. Wynalezienie nowego paliwa, chociażby wspomnianego już monoatomowego wodoru, pchnie wydatnie sprawę naprzód. W ostateczności — pozostaje energia atomowa.

Entuzjaści wyprawy na księżyc nie mają najmniejszego powodu do rozpaczy. W roku 1942 stworzono pod-

stawy dla lotów o bezgranicznym zasięgu, trzy następne lata w sposób niewiarogodny rozwinęły te możliwości. Osiągnięto rezultaty, od których mąci się w głowie. Najbliższe lata bez wątpienia przyniosą technice raketowej dalszy rozwój.

10 stycznia b. r. nawiązano kontakt z księżycem, na razie jednostronny — radarowy. Dobry to omen! Jeszcze lat kilka, a przestrzeń między ziemią a księżycem przemierzać będą aerodynamiczne strzały o napędzie odrzutowym — rakiety.

Na księżyc! Polecimy, może nie w tak romantycznych okolicznościach, jak to opisał Juliusz Żuławski w swej książce „Na srebrnym globie”, ale że polecimy — to pewne.

JAN KIELEWICZ



↑ Oskrzydlona, sprzężona rakietą „A9—A10”, za pomocą której Niemcy zamierzali bombardować wschodnie porty Ameryki Północnej. Czas przelotu rakiety przez Atlantyk — 45 minut

↑ Amerykański projekt pocztowej rakietki transatlantyckiej, pilotowanej na końcowym odcinku trasy przez człowieka. Zasięg 4.850 km, najwyższy punkt wzniesienia — 320 km, szybkość maksymalna — 13.000 km na godz.

AVE MARIA

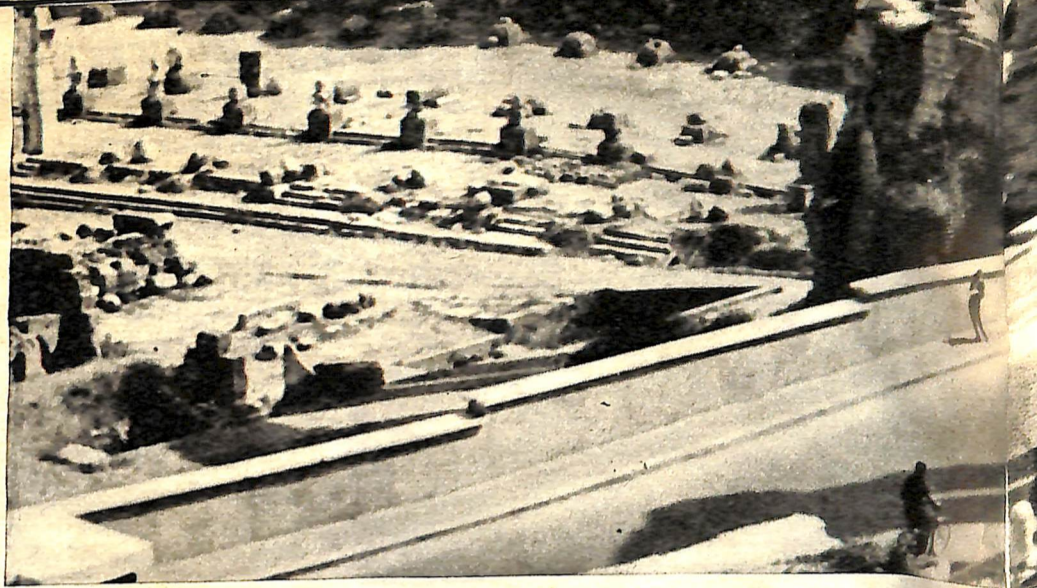
W RZYMIE

Z cyklu: Listy z mojego Rzymu

GUSTAW MORCINEK



Świątynia Venus Genetrix na Forum Juliusza Cezara



Forum Romanum — fragment

Najmilszy Janie z Bogumina!

W poprzednim liście pisałem Ci o swojej włóczędze po Rzymie, od kościoła do kościoła, urzeczony ich pięknem i zdumiony ich wielkością. Ze w przybytkach tych, pełnych kolumn i złocień, marmurów i wspianego gestu człowieka, co był mądry i bogaty, i piękno miłujący i dumny, a czasem nawet i pyszny, że w onych przybytkach z trudem doszukiwam się Boga. Lecz Go znajduję.

Może to zgorszy kogoś, być może. Nie zgorszy jednak nikogo, kto przeszedł obozy koncentracyjne. Na jego pocieszenie dodam, że przecież w Rzymie można na każdym prawie kroku, w każdej uliczce znaleźć jakiś drobnocenny nawet fragment wielkiego uniesienia serca ludzkiego, tęskniącego do Boga. I wtedy nie czuję się samotnym w swej upartej włóczędze; przeciwnie — radośnie mi na duszy, że nas tutaj wielka, nieprzejrzana gromada ludzka, żywiąca te same pragnienia i nadzieje i tęsknoty, co przybłąkany „człowiek z obozu”.

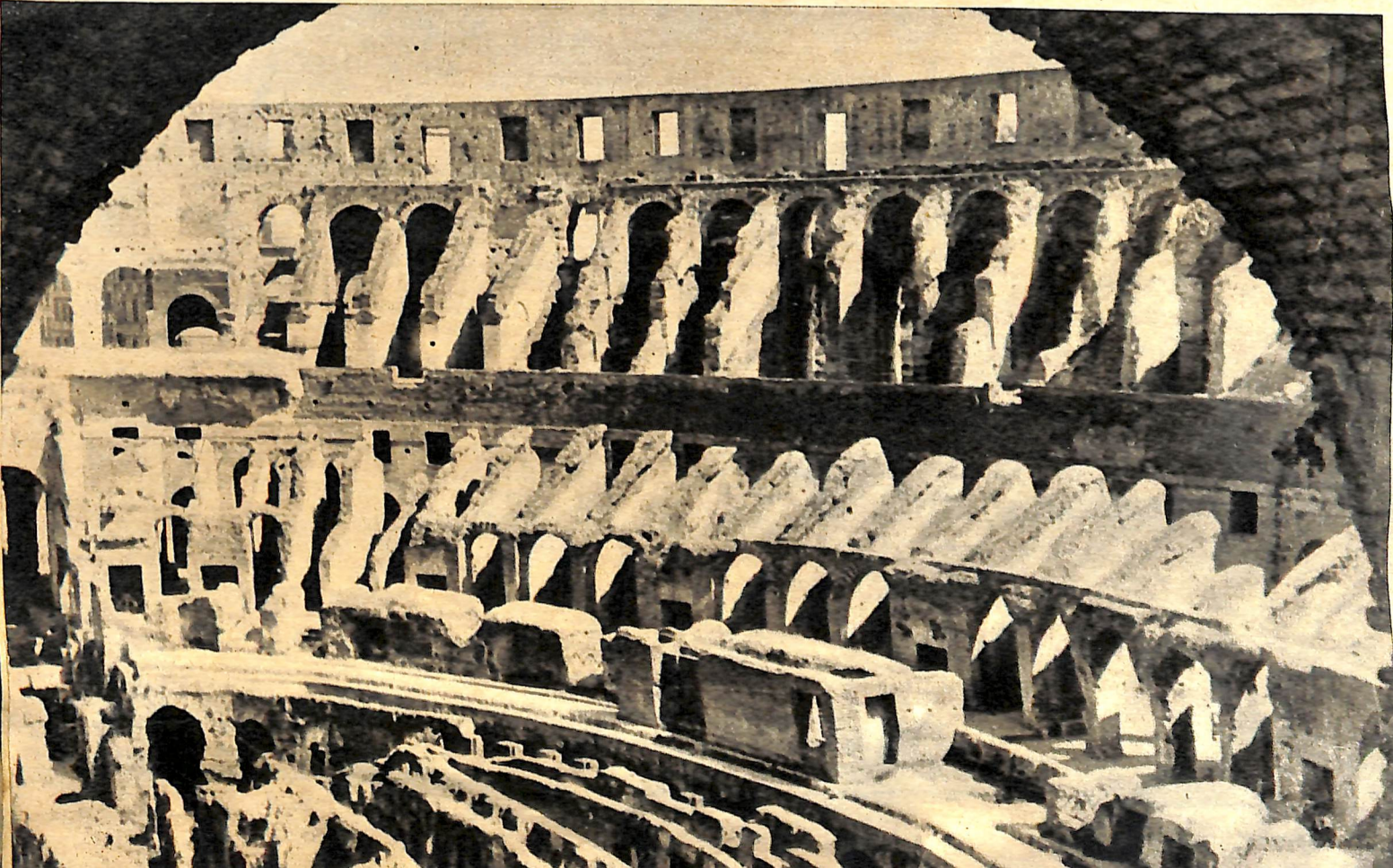
Lubię Rzym o zmroku, kiedy zapalają się nad jezdniami przyćmione kopyty świetlne, iż to dogasające gwiazdy z nieba, które trzymają nad Rzymem barokowe aniołki i pozwalają im dopalić się w spokoju. Sączą się z nich jakiś płowy poblask, jakby rudo-szara mgła, wypełniająca wgłębienie ulicy aż po czarne kalenice renesansowe. Na kalenicach wspiera się już granatowe niebo.

Pobok zaś, na węgłach bocznych uliczek, na wysokości pierwszego lub drugiego piętra pełgają drobne „janiczki”. Tak u nas, na Śląsku, nazywają drobne światełka w mroku. Światełka te rzucają skąpy blask na słodką twarz Madonny z Dzieciątkiem, czasem w otoczeniu uskrzydłonych główek anielich Sassoferrata, czasem w girlandzie kwiatów i owoców, a zawsze naśladowujące majolikowe Madonny i jej aniołki Luca dello Robbii.

Czasem na ścianie kamienicy jarzy się cały wieniec światełek, a z ich barokowej ramy patrzy na ulicę słodka twarz Madonny, wyczarowana przez pobożne wzruszenie nieznanego mi malarza. Jeżeli zapytać się przechodnia, kto malował tę Madonnę, przechodzień spojrzy na mnie zdumiony, spojrzy trochę zdumiony na obraz, uśmiechnie się lekko zakłopotany i powie szczerze, że nie wie. To dobrze, bo ja też nie wiem. Niech nam obu wystarczy, że tamta Madonna jest przesłiczna i że patrzy na szary tłum uliczny, biegnący w pośpiechu za swoimi sprawami.

Czasem wystarczy pójść w kierunku Santa Maria Maggiore. I zienacka staniesz olśniony. Oto spoza murów wystrzela nagle pod słoneczny błękit wysoka, smukła kolumna z bazyliki Konstantyna, a na jej szczycie unosi się Madonna. Ta sama Madonna, która Cię ongiś wzruszała, kiedy jeszcze chłopcem chadzałeś do starego kościoła na wieczorne nabożeństwa majowe. Wysoko, pod szerniałym sufi-

↓ Colosseum — wewnątrz



Plac św. Piotra — widok z Kopyły św. Piotra





Forum Mussoliniego w Rzymie

tem, na tle błękitnych draperyj, biała się wtedy ta sama postać: pełna słodyczy i dobroci i patrzyła na nasze kudłate łby i na nasze rozwichrzone serca, jak ogromnie dobra matka patrzy na swoje dzieci. Coś tam potem pozostało z owego spojrzenia, bo gdy człek błąkał się po świecie i gdy tkwił latami za drutami kolczastymi i gdy patrzył w karpawie, cuchnące ślepią śmierci, przychodziło zniecała wspomnienie tamtego spojrzenia Madonny ze starego kościoła karwińskiego i wtedy serce uciszało się na długo.

Dzisiaj po tylu latach spotykam je znowu w Rzymie.

Wystarczy zabłąkać się, bez przewodnika, tak zupełnie przypadkowo, do kościoła Santa Prassede. Czarna tablica z białymi literami podszeptnie Ci w języku angielskim, iż w tym 1000-letnim kościele znajdują się mozaiki również z dziewiątego wieku. Dobrze, dobrze!... Lecz wśród tłumu świętych postaci, gdzieś w bocznej kaplicy, nad ołtarzem wynurzy się zniecała z pachnącego półmroku znowu jasna postać Madonny. Otoczyły ją z obu stron hieratycznie i sztywno uszeregowane postacie mnichów i mniszek, klęczące w głębokiej adoracji, znieruchomiałe w swym uniesieniu, a w środku, z maluchnego kwietnika wyrastają lilie, podobne do naszych śnieżyczek lub do tatrzańskich krokusów białych. A wśród śnieżyczek bieli się wysoka, smukła, lekka postać Madonny. I teraz nie wiedzieć, co podziwiać: czy samą Madonnę czy

tego artystę, który z kamuszków ułożył tak precudne zjawisko.

Patrzysz długo w tamto zjawisko i nie możesz się nasycić. Odchodzisz, by po chwili znów wrócić. Myślałbyś, już nabrał w serce do syta ciszy i słodyczy liliowej postaci Boskiej, już do ostatka pokorny i wdzięczny za tamto przeżycie i odchodzisz. Błądzisz więc wzdłuż nawy, wodzisz spojrzeniem po marmurach, po szczątkach architrawów z pogańskich świątyń, po tym bogactwie najstarszej mozaiki w Rzymie, wyławiasz z nich postacie, zdumiewasz się ich zastygłą świętobliwością, patrzysz z ubocza, jak ludzie podchodzą w skupieniu pod marmurowy tron w bocznej nawie i dotykają palcami stóp lub sukni białej na tronie Madonny, całują potem koniuszki palców i czynią krzyż na piersiach. Patrzysz z jakimś nieuchwytnym przeblyskiem racjonalistycznego ujmowania wszelkiego rodzaju zjawisk, jak podchodzi do Madonny stara, brudna jakaś przekupka, gruba i rozczochrana, z narzuconą chusteczką pomiętą na głowę, jak stanie przed Madonną, rozłoży szeroko podniesione dłonie i stoi teraz rozmodlona, podobna do księdza przy ołtarzu podczas Kanonu, gdy szepce: „Memento, Domine, famulorum”... a potem staje na palce, dotyka ze czią stopy Madonny, całuje palce, żegna się i odchodzi już inna. Już nie gruba, brudna, pyskata przekupka o chytrych oczach, lecz uciszony człowiek, który się wyżalił w westchnieniu i teraz mu już dobrze.

Tamta przekupka odeszła a ja wróciłem po trzeci raz do Madonny w bocznej kaplicy. I już teraz wszystko zrozumiałem.

Zazdrościłem jedynie, że nie posiadają jeszcze tej prostej wiary rozczochranej przekupki rzymskiej.

Czasami jestem jej blisko.

Oto w kościele Ojców zmartwych-wstańców, podczas nabożeństwa orga-

nista błądzi w preludiach, aż w końcu natrafi na „Ave Maria” Schuberta. Dlaczego nie na Gounoda, lecz na lirycznego Schuberta — nie wiem. Muzyka spływa na kościół, cicha i jakby przesycona błękitem wiosennego dnia czy zapachem fiołków z dalekiej, nieobeszłej łąki.

I dziwna rzecz, że wtedy zawsze przypomina się obóz koncentracyjny. A z tamtym przypomnieniem pojawia się na chwilę, jak czad gryzący, niedosyt sprawiedliwości, pragnienie jeżeli już nie zemsty, to przynajmniej pomsty, żal jakiś, gorycz nienazwana, piołun w sercu. Boć w obozie w każdą niedzielę wieczorem schodzili się na placu apelowym pod głośnikiem. Głośnik wisiał na żelaznym maszcie, na maszcie zaś powiesił się kiedyś nasz kolega, współwięzień. Dziwne miejsce obrał na swoją śmierć. Inni wieszali się zazwyczaj w ustępach lub w umywalniach, on wybrał maszt głośnikowy. Może chciał widzieć w tym usymbolizowanie swojej śmierci. Niechaj na cały świat krzyczą głośniki o jego śmierci, która wyrosła z ponurej rozpaczy i męki!...

Zbieraliśmy się więc każdej niedzieli wieczorem pod głośnikiem i słuchaliśmy zniekształconej muzyki klasyków niemieckich. Brahmsa, Mozarta, Wagnera... W końcu przyszła kolej na Schuberta.

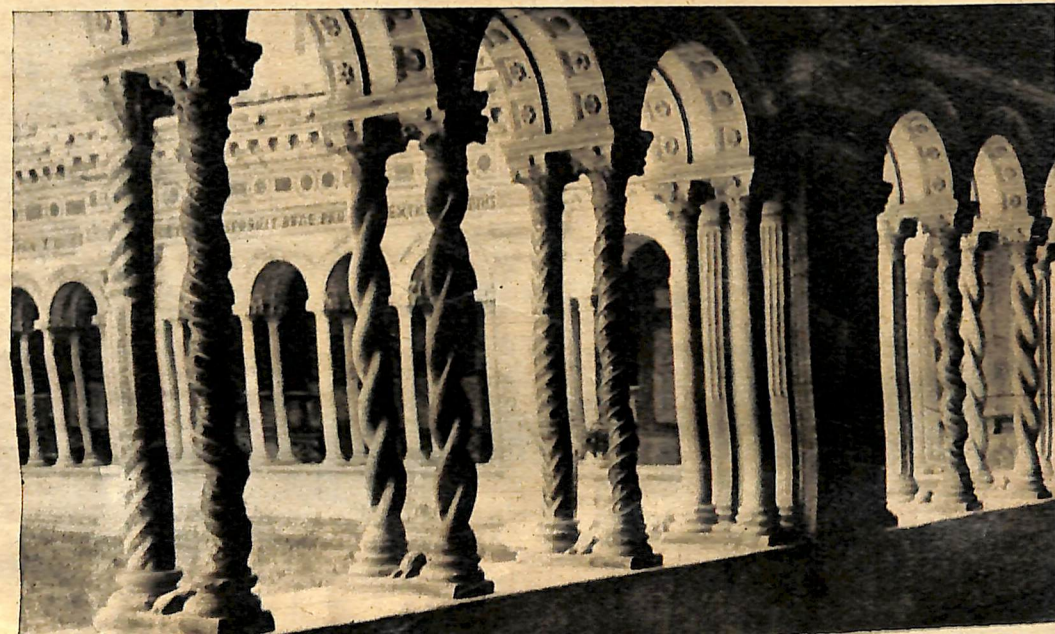
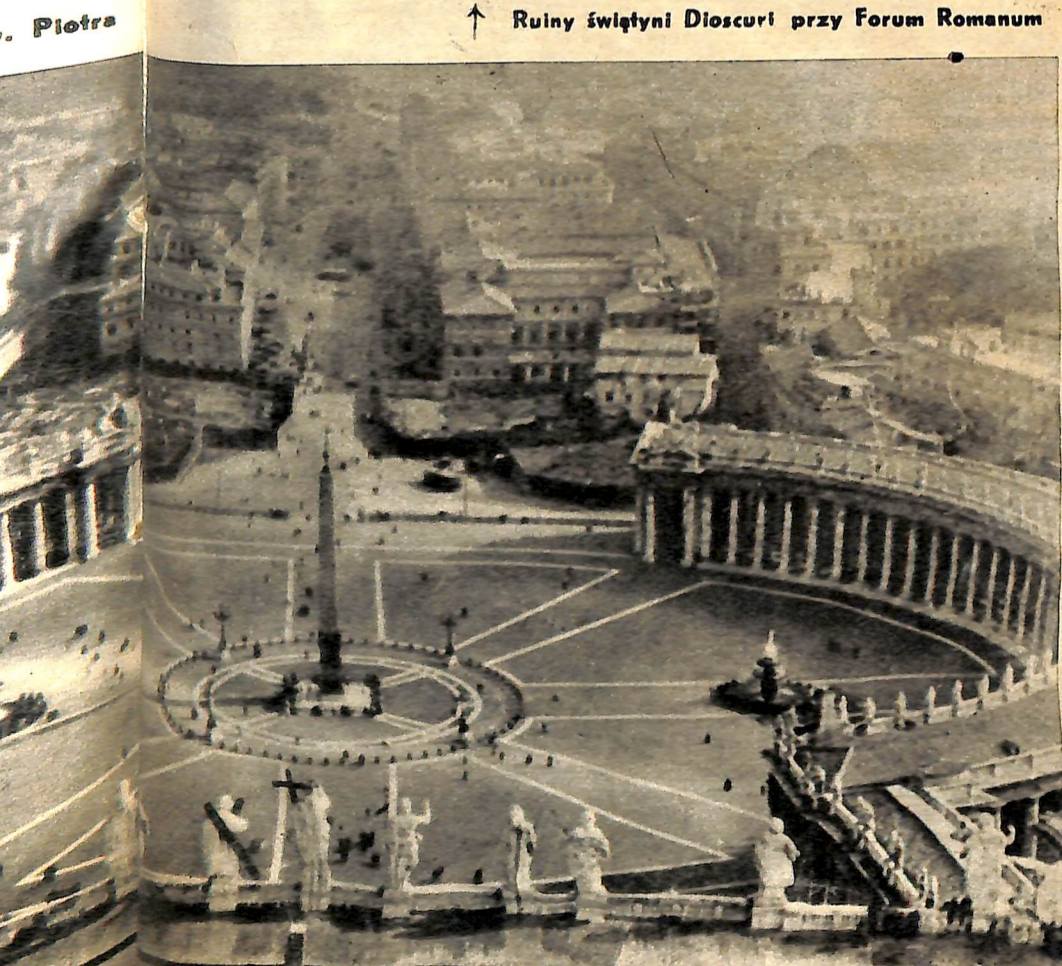
Muzyka posiadała metaliczny porbrzek, dudniła jak w sklepionej beczce blaszanej, czasem przekształcała się w chrapliwy dysonans, lecz była nam zawsze muzyką. I pamiętam, pod masztem skupili się najbardziej fanatyczni wielbiciele muzyki. Reszta zaś przechadzała się grupami, tam i z powrotem, od jednej granicy, uczynionej z kolczastych drutów, po drugą granicę. Jak zwierzęta w kłatkach po zoologicznych ogrodach. Rozmawiali o swoim szarym życiu. A z głośnika sączyła się muzyka. Muzyka była

(Dokończenie na str. 14)

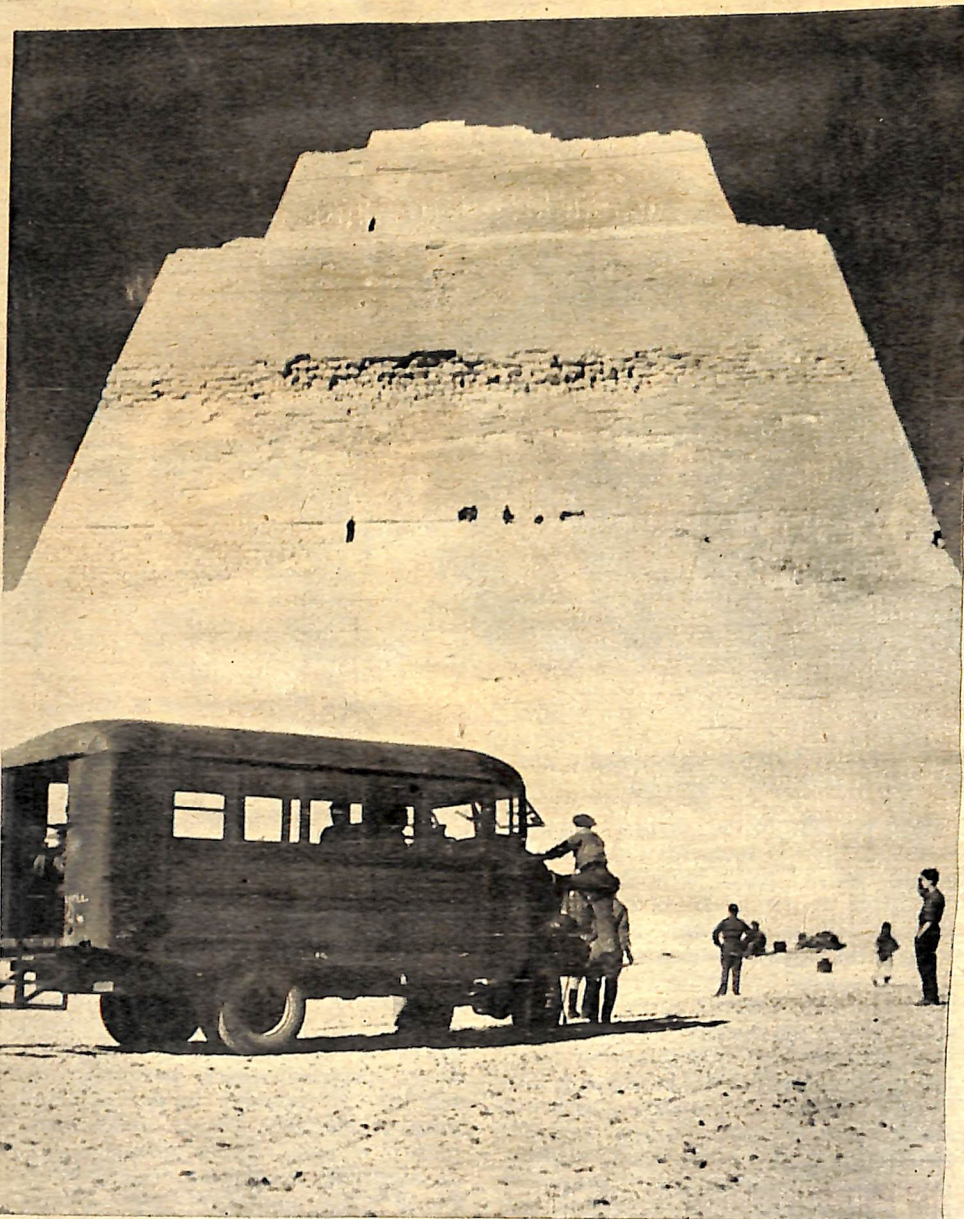
„Chlostro” w Bazylice św. Piotra



↑ Ruiny świątyni Dioscuri przy Forum Romanum



Uczeni archeologowie — Zabytki starego Egiptu — Odkrycia i podróże — Wyprawa z samolotami — Pani, auto i pies — Wysokogórska wspinaczka — Telefon do Faraona — Zabłąkani w pustyni — Przekleństwo Beduina — Wszystko dobre, co się dobrze kończy.



Piramida Mejdum liczy około 5000 lat

Szerokie ulice nowoczesnego Kairu ochrzczone nazwiskami profesorów Champoliona, Maspero, Petrie, oraz wielu innych badaczy zabytków i historii państwa faraonów. Egipt, kraj dokąd ze wszech stron świata przybywali uczeni, zdawna był celem naukowych wypraw archeologów niemal wszystkich państw europejskich z Polską włącznie. Prócz uczonych egiptologów przybywali tu również turyści, którzy zwabieni urokiem Wschodu, przez szereg tygodni zwiedzali pomniki staroegipskiej kultury.

Tak było niegdyś. Dziś, gdy życie ludzkie zostało zmotoryzowane, zmechanizowane i racjonalizowane, na ogół na romantyczne poszukiwania lub byronowskie błądzenie sobie tam i sam nie ma czasu, a często i możliwości. Ciekawym przychodzi tedy z pomocą poczciwy pan Cook z synkiem, bądź inna Imka czy Welfare.

W zachęcających prospektach, w których każda bogini ma swoją ewiden-

cję, każdy faraon — osobistą kartotekę, każda mumia jest zameldowana, a każdy kapłan wciągnięty na listę z liczbą dziennika — turysta zapraszany jest na zbiorową wycieczkę, gdzie za niską opłatą może otrzymać wszystko z podsunętym obiadem pod nos włącznie. Wieloosobowy autokar obwozi podróźnych po mieście, a siedzący obok szofera przewodnik objaśnia:

— Oto jest, proszę państwa, poczta! Wszyscy wysuwają głowy we wskazanym kierunku i gapią się, jak gdyby nigdy w życiu nie widzieli poczty.

— A tam oto jest biblioteka!

— Aaal — odpowiadają wycieczkowiec zgodnym chórem, gdy samochód pędzi dalej.

— A tu znowuż na prawo jest szkoła — wskazuje laską przewodnik.

Znów wszyscy wychylają się z auta, jak gdyby nigdy do szkoły nie chodzili i nie mieli z niej jak najpaskudniejszych wspomnień. Niektórzy, bar-

dziej gorliwi, sprawdzają w książkach lub na mapie, czy w rzeczywistości szkoła ta stoi na swoim miejscu i czy aby ten telegraf, to naprawdę telegraf.

Niezamordowany przewodnik gdy już pokaże magistrat, straż ogniową, wszystkie komisariaty policji, irygację, kanalizację, asenizację, stare mury miejskie i młode mury wiejskie, przedstawia parę meczetów, wiezie pod słynne symboliczne trzy piramidy i prowadzi na bazy, gdzie można kupić autentyczne kolorowe chustki egipskie, wyrabiane w Hamburgu i prawdziwe arabskie korale przywiezione z Pragi Czeskiej. Wycieczkowiec jednak są szczęśliwi, sfotografowali się bowiem niezliczoną ilość razy, mają apetyt do obiadu i są przekonani, że dokładnie zgłębili tajemnice Afryki Północnej. Tymczasem pożytek z takiej wycieczki jest raczej znikomym. Natłok wrażeń, zbyt wielka ilość obiektów oglądanych w tłumie, unowocześnienie antyków elektrycznym oświetleniem wewnątrz niektórych piramid, odbierają wycieczce wartość poznania i urok egzotyki.

Szczęśliwie od tego rodzaju zwiedzania całkowicie odmienną była urządzona ostatnio wyprawa na szczyt jednej z najstarszych w Egipcie piramid — piramidy Mejdum, znajdującej się w pustyni, w odległości stu trzydziestu kilometrów od Kairu. Ekspedycja złożona była z kilkudziesięciu wszelkich możliwych stopni wojskowych, wśród których znajdowało się paru polskich i brytyjskich kinooperatorów z aparatami, szereg fotografów oraz kilku zaopatrzonych w liny i wysokogórskie buty alpinistów, zamierzających zdobyć szczyt, a raczej płaski dach piramidy Mejdum. Karawana samochodów, która wyruszyła o świcie, składała się z sześciu wołów przetrzonego kalibru od drobnego jeepa począwszy poprzez sportowe maszyny, mniejsze i większe limuzyny aż do olbrzymiego autobusu. Oprócz tego były dwa samoloty, kable grube, średnie i cienkie, stacja telefoniczna, arsenał rakiet, trzy potężne łopaty, cztery ostre kilofy, dwie śliczne panie, jeden mały piesek, przenośna kuchnia i połowa apteczka.

Droga, która wiodła początkowo wzdłuż dorzecza Nilu, wpała wkrótce w złoto pół-pszencicznych, dała susa w zieloność łąk, wsączyła się w cieniistość palmowego lasu i nagle wyskoczyła na pastwisko, by spłoszyć nieprzeliczone stado spokojnie pasących się wielbłądów żrebiąt. Stąd, hen w oddali widniała już olbrzymia piramida. Na wyniosłym wzgórzu, otoczonym kamienistym płaskowyzem, pośród szerokim pierścieniem otaczającej ją zieleni łąk odległej wioski Mejdum.

Wkrótce wycieczkowiec rozbili tu obóz i zabrali się ochoczo do dzieła. Kinooperatorzy i fotografowie wycofali się na zgóry upatrzone stanowiska, skąd wycelowali lufy swoich obiektów, samoloty jęły krążyć nad piramidą, by zrzucić nań zaopatrzone w ciężarki liny, mające ułatwić wspinaczkę, do której ogólnie się przygotowywano. Mężczyźni jak to mężczyźni: przebierali się w strój wysokogórski i robili strasznie bohaterские miny, panie, jak to panie: gotowały herbatę i opalały się, a piesek jak to piesek: merdał ogonkiem, szczerkał i na próżno z utęsknieniem wyglądał w pustyni choć jednego mizernego drzewka, pod którym mógłby podnieść tylną nóżkę.

Całą wyprawę organizował pewien już starszy jegomość — Anglik władający polskim językiem, gdyż przed wojną przez dłuższy czas przebywał w Warszawie jako dziennikarz. Poczciwy ten siwosz, nazwiskiem Egerton Sykes, biegł zaferowany w szelkach, w okularach i w pocie czoła, raz w raz telefonując z pustyni na szczyt piramidy, jak gdyby chciał się koniecznie dowiedzieć, czy śpiący w niej faraon

już wstał i czy może podejść do telefonu.

Piramida Mejdum, w której głębi znajduje się grobowiec króla Snofru — prapradziada Cheopsa, kształtem swoim szczególnie wyróżnia się spośród wszelkich innych budowli Egiptu przed Arabowie nazwali ją El Haram el Kaddab, czyli fałszywą piramidą. Zbudowana na wysokim, kamienistym usypisku wznosi się niczym pojeźna trzypiętrowa twierdza bez okien i wyłotów. Innymi słowy, stanowi ona po prostu trzy olbrzymie sześciokątne gładkich ścianach z czerwonego gładkiego, ustawione jeden na drugim. Pierwszy — najpotężniejszy ma ponad trzydzieści pięć metrów wysokości, drugi wynosi około dziewięciu metrów, trzeci wreszcie komin — najwyższy i najmniejszy — wznosi się na wysokość metrów sześciu. Całość — od stóp wzgórze przenosi ponad sto metrów. W południowej ścianie pierwszej kondygnacji zakratowane drzwi strzegą wejścia tajemniczej głębi. Jeśli je otworzyć, prowadzą długim, przepaścistym korytarzem do ciemnego grobowca.

Piramida Mejdum, która zbudowana za czasów czwartej dynastii, liczy tym samym około pięciu tysięcy lat, znajduje się mimo to w tak dobrym stanie, że przysłowiowy żab czasu nie tylko jej nie nadgrzyźł, ale nawet niemal nie zadrasnął. Po jej wschodniej stronie znajduje się grobowiec — świątynia, poświęcona królowi Snofru, a składająca się z dwu komnat i przedsionka. W pobliżu, na wschód i północ od piramidy widnieją liczne grobowce członków królewskiego dworu. Dwa najwspanialsze są łożem wiecznego snu wezira Nefermaata i jego urodzivej małżonki Yetet. Opodal odpoczywają — a jeśli przyjąć, że w ciągu pięciu tysięcy lat można było już dawno odpocząć — to raczej: wylegują się książę, Rahotep w towarzystwie swej żony Nofret.

Zmudne zrzuć z samolotów niestety nie dały pożądanego wyniku. Trzeba się tedy było uciec do pomocy rakiet. Do jednej z nich przywiązano kabel, umocowany do liny i wystrzelono w przestworza. Po dostatecznym narobieniu huku, dymu, kurzu i swędu — cel w pełni został osiągnięty, mianowicie lina wspaniale została przez szczyt piramidy przetrzucona. Teraz umocowano ją do umyślnego bębna wmontowanego do przedniego zderzaka autobusu. Ten cofając się, ją spełniać rolę ciągnika przy budowie mostu Bailey'a, czyli po prostu naciągał linę, po której wkrótce zaczęła wspinaczkę sportowcy żądni ujrzania pustyni z dachu trzeciego piętra prywatnej kamienicy praszczura starego Cheopsa. Ostatecznie po wielokrotnych próbach trudnej wspinaczki po niemal gładkich ścianach, po których nawiasem mówiąc, łatwiej byłoby wleźć przy pomocy strażackiej drabiny, — jako pierwszy wspiął się młody lotnik brytyjski Antony Kersten.

Zmierzchało już, gdy obóz został zwinięty i karawana wyruszyła w powrotną drogę. Gdy za koroną drzew palmowego lasu zniknęły zarysy pozostawionej w szarym zmroku piramidy, część samochodów postanowiła wracać drogą krótszą, wyrwała w bok i po godzinnej jeździe oczywiście zabłądziła w ciemności i w pustyni.

Kierowca pragnąc nadrobić stracony czas i zdążyć zanim wycierpie się benzyzna, pędził jak wariat we wszelkich możliwych kierunkach z wyjątkiem właściwego. Wreszcie, gdy zdala w kwitw w pustkowiu czerwony kwiat płonącego ogniska, wokół którego grzało się kilku Beduinów pilnujących owiec, samochód przystanął. Z maszyny wysiadł teraz przystojny porucznik królewskiej artylerii, imieniem Allan, podszedł do okutanego w podarte szmaty Araba, stojącego na warcie ze staromodną fuzją na ramieniu i, niczem do londyńskiego gentlemana,

Wspinaczka na szczyt piramidy



w idealnej angielszczyźnie spytał o drogę do Kairu.

Stary pastuch, który z pewnością nigdy w życiu w Kairze nie był, jak również wątpliwe, by kiedykolwiek studiował w Oxfordzie piękną mowę Szekspira, odparł lakonicznie:

— Cigarol!

Niestety, uprzednio w samochodzie wszyscy już wypalili swoje papierosy i nikt nie posiadał nawet szczypty tytoniu. Niezrażony odmową Beduin wskazał palcem kierunek i powiedział uprzejmie:

— Charrab Allah trumbilkum! Yalla ruhu gehennem alatul!

Urodziwy porucznik skłonił się, podziękował grzecznie: „thank you”, poczem wsiadł do maszyny i powtórzył: „alatul”! co po arabsku znaczy: „prosto”!

Kierowca nacisnął gaz i maszyna runęła w ciemność rozwijając szybkość ponad siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Gdyby jednak piękny oficer posiadał większą znajomość arabskiego języka, wiedziałby, że słowa miłego Beduina oznaczały:

— Bodajby Allah połamał wasz samochód, iżbyście zajechali prosto do piekła!

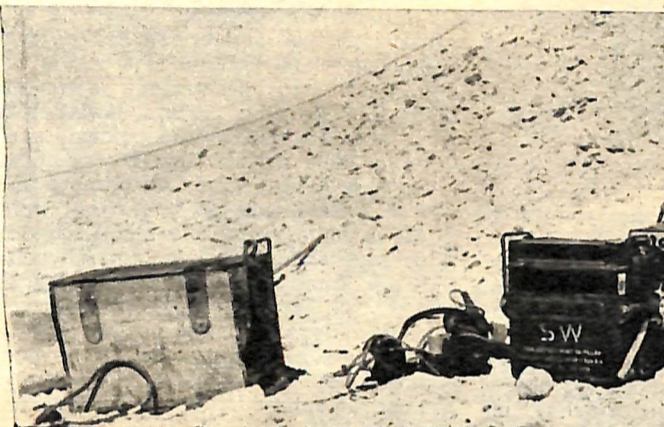
Pomimo tego błogosławieństwa kierunku okazał się jednak właściwy i po wielogodzinnej jeździe zabłyśły w odległości maleńkie punkciki świetne lamp kairskiego mostu, wygiętego ponad Nilem, niczem olbrzymi grzbiet zjeżonego kota.

...Czasami nieznajomość obcego języka wspaniale ułatwia wzajemne porozumienie.

Wyprawa zaopatrzona była w stację telefoniczną...

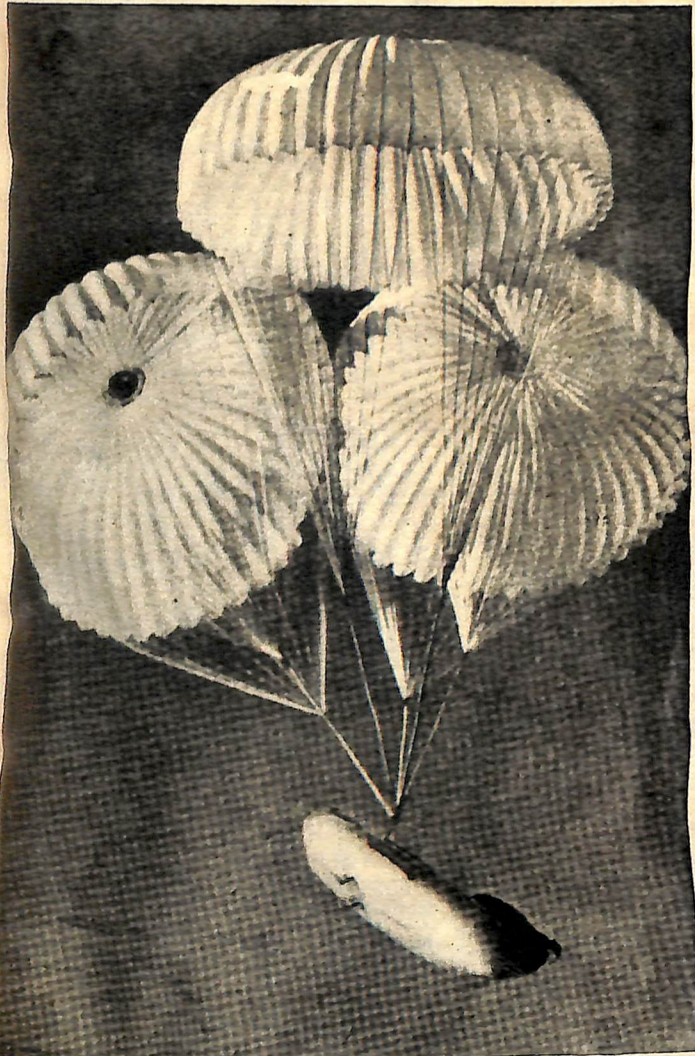


Organizator wyprawy Mr. Egerton Sykes



LATAJĄCA ŁÓDŹ RATUNKOWA

Łódź ratunkowa woduje pod kątem 35 stopni z szybkością 7 metrów na sekundę

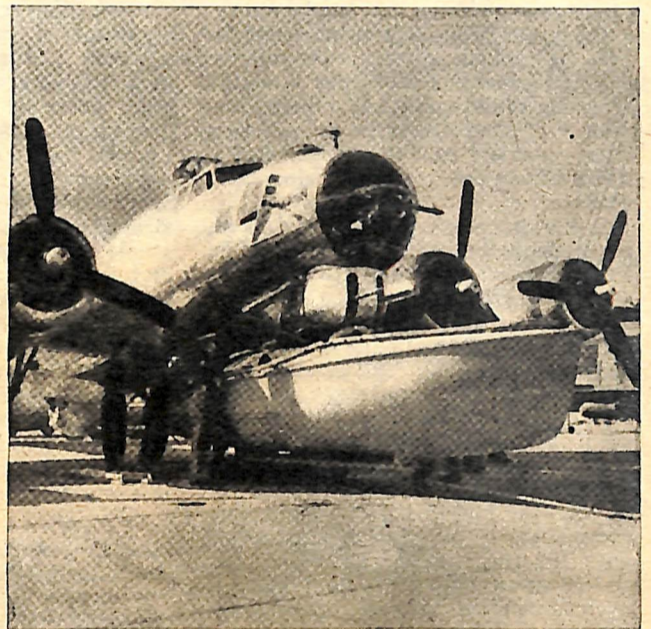


Armia amerykańska używała w ostatniej wojnie nowego typu łodzi ratunkowej, zrzucaanej na spadochronach. Łódź tę, produkowaną obecnie seryjnie, ochrzczono iście poetycznym mianem: „Okręt-widmo”. Posiada ona 8 m długości i 2,5 m szerokości; jej ciężar własny wynosi 1268 kg. Dzięki wielkiej statyczności może ta łódź być użyta, gdy na wzburzonym morzu nie może wodować hydroplan oraz gdy liczba rozbitków przekracza pojemność samolotu.

Wyposażenie łodzi odpowiada w zupełności jej celowi. Na pokładzie zainstalowany jest aparat do destylowania wody morskiej. Zapas żywności i środków leczniczych (także plazma do transfuzji), wystarcza dla 12 ludzi na 15 dni. W łodzi znajdują się ubrania i kołdry nieprzemakalne, aparat radiowy, maszt ożaglowany i przybory rybołówcze. Poza tym — dwa silniki zapasowe po 5KM, paliwo, mapy, instrumenty nawigacyjne i sygnalizacyjne.

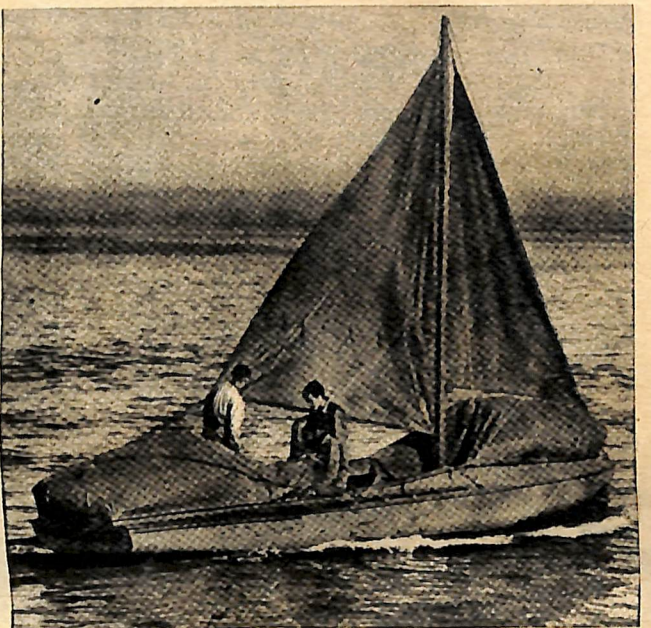
Ratunek jest szybki i skuteczny. Pilot samolotu patrolowego, posiadającego tego rodzaju łódź, oznacza pozycję rozbitków na mapie i dokąd mają się udać po dalszą pomoc (najbliższy port, szlak komunikacji morskiej). Przez otwór w kabine bombowej wkłada mapę do łodzi, po czym dźwignią zwalnia uchwyty przytrzymujące ją do kadłuba samolotu. Łódź spada powoli na trzech spadochronach. W chwili, gdy łódź osiada na falach, na skutek wstrząsu następuje samoczynne odpalenie 3 raketnic linowych (zob.: „Raketnica linowa ratuje ginących” str. 5), które wyrzucają na odległość stu kilkudziesięciu metrów sznury ratunkowe. Sznury te pomagają rozbitkom dostać się do łodzi.

Tragicznemu losowi „człowieka za burtą” — opuszczonej igraszki żywiołu, mocującej się ze śmiercią — pośpieszyła na pomoc pomysłowość ludzka i — nie zawsze tylko zabójcza — technika.



Przymocowanie łodzi ratunkowej do B-17. Obciążony samolot traci nieco na szybkości; zdolność manewrowania — bez zmian

Uratowani rozbitkowie zakładają maszt i żagle. Przy użyciu silnika mogą rozwijać szybkość 17 km na godzinę i przebyć trasę — 650 km



KRÓL HENRYK V

Jadwiga Czechowiczówna



Produkcja filmu szekspirowskiego była próbą, wymagającą od zespołu reżyserów i aktorów zupełnie nowego, oryginalnego systemu pracy, odstepującego w wielu szczegółach od ogólnie przyjętych metod. Film powstał w warunkach wojennych, co już samo przez się nastęcało ogromne trudności. Wystarczy powiedzieć, że przy dokonywaniu zdjęć pejzażowych na południu Anglii, stracono wiele cennych godzin w oczekiwaniu na moment, kiedy z nieba znikną sylwetki samolotów, a wiatr rozproszy dymy i mgłę.

Jednym z najpoważniejszych problemów, jakie należało rozwiązać, była sprawa dekoracji i tła. Szczególnie środkowa partia filmu musiała mieć charakter średniowieczny, starano się więc wiernie odtworzyć styl malarstwa angielskiego z XIV wieku. Malarze z epoki króla Henryka V mieli tendencję do spłaszczania perspektywy, tego zaś rodzaju malowane dekoracje mogły dać nieoczekiwany efekt na filmie. Dopiero drogą długich prób i mozolnych poprawek udało się jednak zachować styl epoki bez rażącej sztuczności na ekranie.

Specjalnego opracowania wymagała również kwestia barw i oświetlenia. Na obrazach z XIV wieku pewne partie, na które artysta chciał zwrócić uwagę, są podkreślone za pomocą silnych barw i ostrych konturów, brak jest natomiast zupełnie cieni. Dostosowanie tej techniki do potrzeb produkcji filmowej udało się osiągnąć przez subtelne zbalansowanie kolorystyki kostiumów i tła, tam gdzie trzeba było wyróżnić jakąś postać na tle dekoracji należało bardzo troskliwie i malarsko dobrać kolory, aby wywołać należyty efekt.

Tendencja rozwiązania problemu kolorów z punktu widzenia malarskiego zdecydowała o użyciu wyłącznie niemal malowanych dekoracji tła i wnętrza, zamiast normalnie używanych i specjalnie w tym celu budowanych makiet. Jedynie na początku filmu, panorama Londynu z roku 1600, jest makietą, której budowa trwała cztery miesiące, a wzorem jej była mapa plastyczna Visschersa, przedstawiająca stolicę Anglii w początkach XVII wieku.

Punktem kulminacyjnym filmu jest bitwa pod Agincourt, najdłuższa i najliczniejsza scena grupowa. Nie mając możliwości znalezienia odpowiedniego dla filmowania terenu, w pochłoniętej akcji wojennej Anglii, zespół filmowy przeniósł się do Irlandii, gdzie miejscowe władze dostarczyły producentom 500 robotników, którzy mieli o-

degrać role łuczników i żołnierzy 180 farmerów na koniach stanowiąc kawalerię francuską.

Kostiumy zaprojektował, na podstawie oryginalnych wzorów, wykonał je zaś uczniowie Akademii sztuki w Dublinie. Szaty drewniane i czapki opracowano na podstawie muzealnych zabytków leżących, jakoby niegdyś, do Henryka V.

Bodajże największą trudnością było zgromadzenie setek mieczy, zbroi, potrzebnych w bitwie. Wykonanie powanie 700 ludzi liczącej armii, było rzeczą łatwą, ponieważ w całej Anglii rekwizyty teatralne były dość ubogie, a możliwości wyprodukowania potrzebnych przedmiotów nie było żadnej. Specjalni wysłannicy przetrzasali kraj wyszukując rozmaite części uzbrojenia. Szczególnie trudno było zdobyć nieodzowne koszaki druciane i misiurki. Przed wojną Niemcy były jedynym krajem, produkującym te rzeczy dla potrzeb filmowatru. Na pomoc filmowcom przywózwczas uczniowie zakładu dla ociemniałych w Dublinie, którzy zrobili całe te części stroju z wełny na grubych drutach. Te trykotarskie arcydzieła po posrebrzeniu i usztywnieniu dawały doskonały efekt.

Dobór kolorów, jeśli chodzi o kostiumy, musiał znowu pogodzić wierność wzorom średniowiecznym z wymogami techniki filmu kolorowego, ustępując jej tam, gdzie kolorowa fotografia zmienia odcienie.

Pokonanie tych wszystkich trudności dało zespołowi artystów i reżyserów sumę nowych doświadczeń, które z pewnością posuną naprzód produkcję filmów historycznych i dokumentalnych. Widzom zaś, film o Henryku V, dał piękne i ciekawe przeżycia artystyczne. Ten teatr na ekranie posiada bowiem wszystkie walory teatru i filmu równocześnie.

Gra artystów z Laurence Olivierem na czele jest na najwyższym poziomie, a urok prawdziwie średniowiecznego nastroju, spotęgowany delikatnymi rysunkami i kolorze dekoracjami, zacieśniona w wyobraźni czas, jakimi minął od chwili, kiedy szekspirowski Glob wystawiał w Londynie Henryka V.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na znaczenie niejako ideowe sztuki Szekspira i na wynikający z niego niezmiernie subtelny akcent propagandowy. Podczas wojny obecnej widzieliśmy wiele filmów patriotyczno-propagandowych, robionych w ściśle określonych celach. Zasadniczą ich wadą jest krótki dystans ich aktualności. Film o Henryku V, ślawiący nie tylko potęgę Anglii i niezwykłego ducha jej ludu, lecz podkreślający również poczucie wspólnoty i ofiarności w chwili niebezpieczeństwa — jest aktualny od przeszło trzech wieków i będzie stanowił pozycję artystyczną, jedyną w swoim rodzaju tak długo — jak długo świat kulturalny potrafi jeszcze zachwycać się wartościami ideowymi, teatrem i Szekspirem.

Czynione dotychczas próby filmowania arcydzieł literatury nie zawsze osiągały pełne powodzenie — wydaje się nawet, że pomimo ogromnych możliwości, jakimi dysponuje sztuka filmowa, literatura na ekranie nie zdołała jeszcze w żadnym wypadku dorównać siłą wrażenia przeżyciu, jakie daje czytelnikowi wyobraźnia, pobudzona pięknym słowem pisanego.

Brytyjska produkcja filmowa pokuśiła się jednak o rzecz niezmiernie trudną i śmiałą w założeniu — o sfilmowanie sztuki teatralnej. Film o Henryku V jest pierwszą poważną próbą tego rodzaju i otwiera nowe możliwości artystyczne na polu kinematografii.

Wiele przyczyn złożyło się na to, że właśnie Szekspir miał odbyć tę trudną i odważną drogę ze sceny teatru na ekran kina. Poza walorami literackimi i propagandowymi, decydującą rolę w tym wyborze odegrała technika konstrukcji sztuki szekspirowskiej. Podział akcji na mnóstwo krótkich epizodów, bogactwo i różnorodność scen wychodzi, zda się, naprzeciw technice filmowej. Można śmiało powiedzieć, że gdyby istniał film z roku 1599 — Szekspir byłby genialnym reżyserem, a niejedną z jego sztuk, wyraźnie zbuntowana przeciwko ciasności sceny i ograniczeniom klasycznych dogmatów teatralnych, nadawałaby się świetnie na scenariusz.

Chór w „Henryku V”, spełniający klasyczną rolę łącznika i komentatora pomiędzy poszczególnymi aktami, wyraża wielokrotnie nieukontentowanie, a nawet pogardę dla nieudolności teatru, jeśli chodzi o przedstawienie ciągłości akcji i apeluje do wyobraźni widzów, aby zapełniła luki nie do uniknięcia na scenie „Globu”.

„Can this cockpit hold the vasty fields of France?”

(Czy może ten kurnik pomieścić w sobie szerokie pola Francji?) — pyta chór w prologu, a następnie, gdy król na czele swego wojska wyrusza do Francji — chór zwraca się do publiczności słowami:

„There is the play-house now,
there must you sit:
And thence to France shall we
convey you safe,
And bring you back, charming
the narrow seas”.

(Tu jest teatr, gdzie musicie siedzieć, a stąd bezpiecznie przewieziemy was do Francji i powrócimy, czarując wąskie morza).

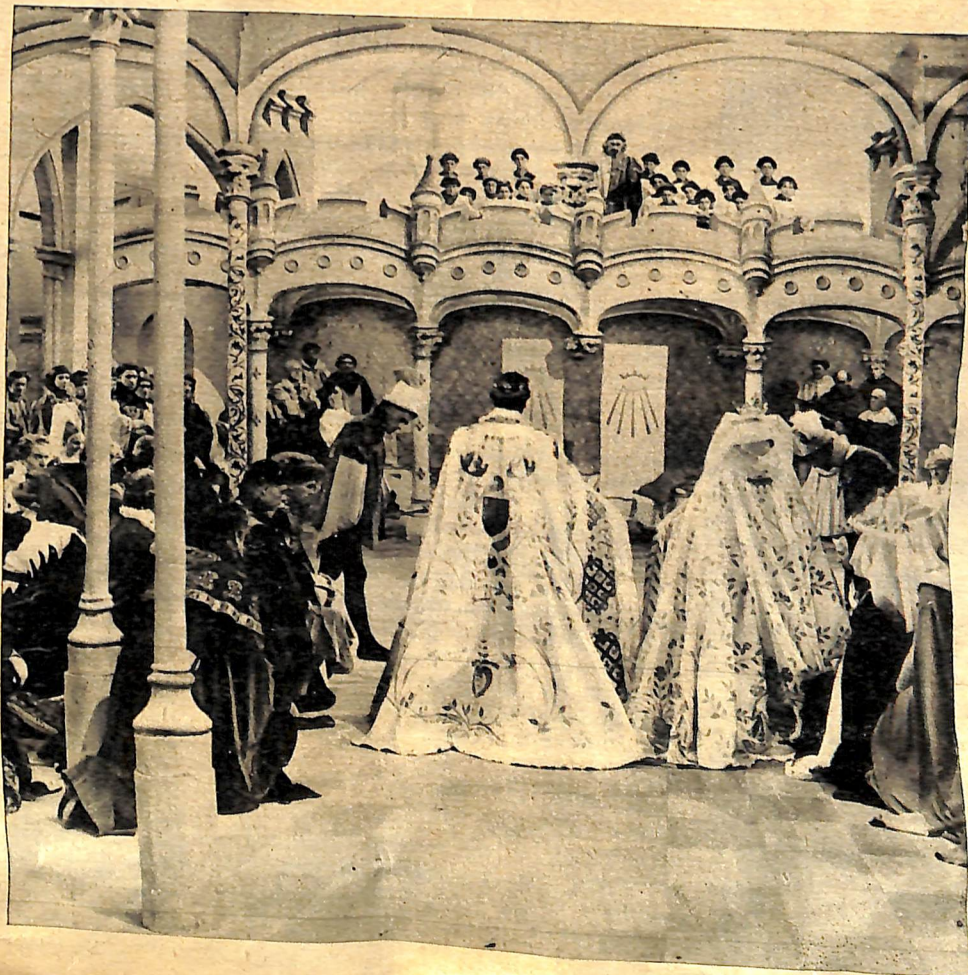
Poza niewielkimi skrótami, jakie poczyniono w tekście, dostosowując go do roli scenariusza — możliwości sztuki filmowej rozwinęły się w pełni tam wszędzie, gdzie scena stanowiła ramy zbyt ciasne. Trzeba przyznać,

że technika filmowa nie starała się wykorzystać swej przewagi nad sceną i że efekt ciągłości akcji został osiągnięty dzięki umiarowi i doskonałemu zestrojeniu elementów scenicznych, teatralnych — i plenerowych, filmowych.

Konstrukcyjny film jest zamknięty w ramach teatru Szekspira „Glob” w Londynie. Na ekranie widzimy nie tylko scenę, lecz również kulisy i widownię. Reakcje widzów na przedstawieniu w roku 1600, podkreślają wrażenie i pomagają niejako w wiernym odtworzeniu nastroju i stylu epoki. Przejścia od scen teatralnych do grupowych i plenerów (przybycie do Francji, obóz w Picardy, bitwa pod Agincourt) są wielokrotnie jedynie harmonijną w stylu i kolorystyce ilustracją do tych partii tekstu, które na scenie wypowiada chór, a dzięki wspólniejszej dykcji artystów, piękno języka Szekspira pozostawia nas przez cały czas pod urokiem teatru.

Może właśnie dzięki temu, że film ten miał za zadanie nie odtworzenie samej treści historycznej, ale jej teatralnego, szekspirowskiego kształtu — ekran nie zmniejszył w niczym wrażenia, a nawet przeciwnie, pogłębił je i uplastyczył.

Scena na dworze francuskim. Król Henryk V poślubia księżniczkę francuską Katarzynę



Henryk V i księżniczka Katarzyna



Podróż w wspomnienia



Patrol łączności artylerii w okolicy Sangro

Obwisły okap chmur strzepi się o odległe szczyty, młeczne mgły płynnym ramieniem ogarniają osnieżone bezbrzeża. Cisza, tylko rzeka uchodzi w dal z przeciągłym żłowrogim poszumem. W noc, na ziemię bezpieczną, w nieznaną nawet groźbą — ciche, bezkształtne idą duchy...

Dwa lata mija od czasu, gdy oddziały DSK weszły do akcji na ziemi włoskiej, gdy pierwsze, zbrojne patrole ruszyły nad Sangro.

Powrót po całonocnym patrolowaniu



BOLESŁAW KOBRYŃSKI

Gawęda Molisańska

Na przedpolu, daleko przed nami,
Most wiszący jest między szczytami.
Na nim gwiazdy błyszczące jak śnieg.

Stamtąd w świsłach niszczący wiatr przybył,
W wieżach dymu dom wyptałak szyby,
U drzwi teraz zmierzch jak psisko legł.

Co w pośrodku — to ziemia niczyja.
Na tej drodze, z miasteczka gdzie wyjazd,
Jak stróż nocny działo pełni straż.

Od Iserni słychać szum. Bez światła
Suną wozy jak czarne widziadła
Zza zakrętu, który dobrze znasz.

Wieje pustką. Za oknem noc widać.
W gdzieś nieznane niepokój uskrzydła,
A za murem kanzona jak sen.

Przydaj bierwion, w kominku niech płoną,
Siadła Włozka przy szarym wrzecionie,
Już się legend mota dziwny len.

— Ze w Rionero straszą wilkołaki,
— Ze są czary w kształtach wielorakich:
— Wąż, gdy lato... Gdy zima, to kot...

Wtem w sam środek legendy zimowej
Świśnie coś — i pochyla się głowy,
I coś huknie wybuchem jak grzmot.

Sygnaturka, zbudzona przez wystrzał,
Litanię wmodliła się w ciszę,
Aż uklęknął pod dzwonnica dym.

Przy kominku nawet noc jest pieśnią,
Tak się wszystko harmonią rowieśni —
W kręgu ognia czary, dzwon i my.

Dziej się, baśni wieczorna na świecie,
Śnieg na drzewach niech wyda się kwieciem,
Front nad Sangro ukotysz do sniegi!

Bije północ. W śnieżystych kożuchach
Zza wyłomu wychynął rząd duchów...

To nasz patrol, co powróci w dzień!

Deszcz przestał padać. Kłębowisko niskich, ołowianych chmur powoli zaczęło ustępować błękitowi nieba. Leżałem na łóżku ze wzrokiem utkwionym w sufit i medytowałem, co robić z dzisiejszym wieczorem. Kino? Grają jakieś stare filmidło, które bodaj widziałem jeszcze w Polsce. Messa? Też nie. Nie mam ochoty dziś na piwo. A więc? Już wiem, co zrobię: pojadę na cross country! Zapuściłem „stajenkę” czyli Forda, z którego ktoś mi wczoraj ofiarował aż 5 funtów i z warkotem silnika, niczem startujące Mosquito ruszyłem w drogę. Wybrałem pierwszą lepszą szosę przed siebie. Po dziesięciu minutach jazdy zauważyłem napis „Lasham 10 miles”. Jadę do Lasham — postanowiłem. Lasham — a więc lotnisko, z którego za dobrych czasów latałem na wojnę. Myśli moje biegną wstecz.

Oto siedzę w pociągu, który pędzi poprzez śliczne okolice południowej Anglii — jadę do Dywizjonu. Przez okno widzę jakieś Mosquito, które kosi zawzięcie. — Pewnie z naszego Dywizjonu — myślę. Pociąg zwalnia biegu. Alton. Ładujemy rzeczy na wóz i krętą drogą jedziemy na lotnisko. Jestem w Dywizjone bojowym, nie jestem już więcej pupil, nie ma już 8 o'clock, parade, nie ma CFJ'i, CGI i innych CNJ, tu jest Dywizjon, tu się lata bojowo!

Dostajemy namioty, rozpakowujemy rzeczy i z ciekawości idziemy na briefing. Starsi koledzy traktują nas nieco pobłażliwie, trochę z góry. Ot, żółtodzioby — mówią ich spojrzenia. Potym pierwszy lot operacyjny. Pamiętam, gdy mechanicz zamkali drzwiczki Mosquito, zdawało mi się, że zamykają wieko trumny nad moją głową — a jednak nie taki wilk straszny, jak go malują, myślałem już po wykonanym locie.

Droga prowadzi teraz przez las, a więc niedaleko lotniska. Już widać nawet bar Gold Pot, ostatni zakręt i jestem na miejscu. Naokoło pustka, w okolicy nie ma żywego ducha, ani jednego namiotu — zwalnia biegu „stajenki” — o tu stał namiot interrogation...

Wyłazimy z lory po locie i idziemy ku oświetlonemu namiotowi interrogation: Halt, who goes there? — zatrzymuje nas wartownik. Całuj psa w nos — odpowiadam po polsku, ale słysząc szcęk repetowanego karabinu dodaję prędko — Friend. Wchodzimy do środka, wokoło unosi się pełno dymu z fajek i papierosów a nade wszystko piękny zapach rumu (trzy pszczołki — pamiętam jak dziś). Pierwszy łapie nas armijny (oficer łącznikowy) — No i co? Coście strzelali? — No i co — odpowiada Maniek najwyraźniej zły — to pan zobaczysz, chmury spacerują po ziemi, a pan się pytasz coście strzelali? Chmury, panie, chmury.

Dodaję gazu i teraz jadę z zawrotną szybkością 20 mil na godzinę drogą biegnącą tuż skrajem lotniska. O tu z boku był magazyn mundurowy, a tu Radar Section, tu znowu był fryzjer — teraz miejsce świeci pustkami. Opodał na drzewie wisi tablica z namalowaną trupią czaszką i napisem Dead slow — People Crossing.

Mechanicznie zwalnia biegu — zbliżam się do messy, a raczej do miejsca, gdzie dawniej była messa pod namiotami i znowu myśli biegną wstecz.

Flying supper? Pyta naiwnie kucharz. What do you think? Odpowiada Maniek zirytowany. Idziemy do

jadalni i w milczeniu spożywamy tradycyjne jajko z bekonem. Uchylają się poły namiotu i wchodzi „Pendzelek” z Halką. Zaczynamy komentować dzisiejszy lot. Okazało się, że namotali się na jakieś silnie bronione miasto. Halka zdecydowanie twierdzi, że „Pendzelek” źle prowadził nawigację — „Pendzelek” zaś ze swej strony, że Halka nie trzymał kursu i szybkości. Gorącą dyskusję przerywa przyjazd lory, która zabiera nas do namiotów spać. Mijam powoli kuchnię. Po lewej stronie mam teraz dispersal „B” flightu, tylko że zamiast Mosquito stoją Typhone i Spitfire. Dojeżdżam do miejsca, gdzie stała moja „D”.

Wyłączam cut outy — jeszcze kilka obrotów i śmigła stają! Wyłażę z maszyny, widzę uśmiechniętą twarz mechanika, który pomaga mi zejść po stromej drabince. Ładujemy spadochrony i may westki do „stajenki” (tej samej, w której teraz siedzę) i chcemy jechać do site. Chcemy (dobrze powiedzieć chcemy!) ale „stajenka” nie chce zapalić. Spróbujemy polski start. Tadeusz wychodzi i zaczyna pchać, ale silnik uparł się i nawet nie kaszlnie, nawet nie kichnie. Wyłażę teraz i ja i pomagam Tadekowi. Pot obficie spływa mi z czoła, zdejmuję najpierw bluzkę, potem sweter i pcham łobuza już w samej koszuli w nadziei, że nareszcie zdecyduje się i zaskoczy. Tak pchając zajechaliśmy do domu.

Tymczasem „stajenka”, jakby wiedząc o czym myślę i jakby się wstydząc, pruje z szybkością 30 m. h. Mimo woli rzucam okiem na wskaźnik benzyny. 1/4 baku. Trzeba wracać; pchanie samochodu obecnie wcale mi się nie uśmiecha. Wracam do domu drogą okrężną i po drodze zatrzymuję się na miejscu, gdzie jeszcze widać wgłębienie ziemi...

— Zbiorniki O. K. — mówię do mego nowego pilota. Zaczynamy kołować, przed nami taksuje „Y” — „York”. — Ach, to Marian z nowym nawigatorem. Jego pierwszy lot po miesięcznym urlopie — przyczyna, dla której z nim już nie latam. Nie chciałem czekać aż wróci i dobrałem się z innym pilotem. Marian startuje, my tuż za nim, robimy rundę. Teraz Maniek odłącza się od nas, idzie w kosiaka, my lecimy nad Alton. Wtem słyszę w słuchawkach: 47 check crash, 030 from aerodrome about three miles.

W oddali słup czarnego dymu. Schodzimy do kosyniera. Na dole widać tylko szczątki maszyny. Kto to może być? Kontrola sprawdza maszynę. 47? O.K. 48? O.K. 49 — cisza.

Uf! Oddycham z ulgą, a więc to nie Marian. „49”. Kto to jest? Ach to Jeffrey — Anglik! Szkoda chłopca. Kontrola sprawdza dalej maszynę. „32?” O.K. 41? cisza, 41? Are you? Znowu cisza, fala krwi uderza mi do głowy. „41” to przecież Maniek. Ładujemy. Na ziemi dowiaduję się prawdy: — Marian zginął. Biorę samochód i jadę na to samo miejsce, gdzie teraz stoję.

Idę przez pole, tak jak rok temu. Miejsce, gdzie uderzyła maszyna zarosło trawą. Niedaleko stogu siana leży jeszcze kupa rupieci z rozbitego samolotu; wśród szczątków znajdują się jeszcze kawałek nadpalonego battle-dressu. Łzy stają mi w oczach; teraz z oddali, po roku czasu czuję, że straciłem przyjaciela. Dawniej nie zdawałem sobie sprawy ze śmierci kolegów, przyjaciół, może człowiek po prostu przyzwyczaił się do tego, ot po prostu odeszli... puste łóżko... brak ich w messie i na briefingu. A teraz...

Wracam do domu, chmury ustąpiły zupełnie, zapowiada się piękna, cicha noc...

AVE MARIA W RZYMIE

(Dokończenie ze str. 9)

miękka i mimo swego zdeformowania w głośniku, posiadała wciąż jeszcze czar czystej muzyki. W pewnej chwili gardłowy głos spikera zabełkotał niezrozumiale, ucichł, a w tej samej chwili na placach w połygnęła miękka, jedwabna melodia „Ave Maria”.

I stała się rzecz dziwna. Wszyscy zaprzestali rozmawiać, wszyscy stanęli lub na palcach jęli się zbliżyć do masztu, i wszyscy zasłuchali się w szare i złe oczy ludzkie przemieniały się w głębokie otchłanie, w których zaczyna się ogień rozpalać, podnosiły się głowy, prostowały zgarbione postacie, oddechy przemieniały się bezwiednie w westchnienia, a serca jęły bić szybciej, gorzeć niesiedem, sycić się słodczą tamtej melodii. Nikt ze swymi myślami nie był już w tej chwili w obozie. Wszyscy błędzi teraz po dalekim świecie, na wolności, wśród świeżych, wręcz wrotności, w swoich czystszych i najgłębszych wzruszeniach, stawali się wyzwoleni z przekleństw ludzkiego zła, urastały im skrzydła na ramionach, wynosili się w zachwycie pod błękit.

Znienacka otworzyła się ciężka, żelazna brama obozu i w jej czeluści ukazały się pierwsze piętki pędzonych więźniów. Wlewali się przez bramę na plac apelowy, jak brudna woda, ludzie zbiedzieni, chudzi, skrząwieni, a koło nich przewalał się krzyk tuszczczy „esmańskiej” z karabinami, gotowymi do strzału i z psami na smyczy.

Schubert jeszcze kwilił w głośniku swoje „Ave Maria”, lecz dla nas już nie istniał, nie istniała jego melodia. A raczej istniała, tylko w innej formie. Oto stała się nam teraz bolesnym urągówiskiem i szderstwem z naszego poniżenia, naigrawała z nas i z naszych wzruszeń, co oto przed chwilą jeszcze wynosiły nas pod niebiosy, a teraz porażały ohydą życia i skonały w pohańbieniu. „Ave Maria” Schuberta stała się nam znienacka tak potwornym zakłamaniem, tak nieludzkim natrząśaniem się z naszych serc, że z przekleństwem jęliśmy szybko wracać do baraków.

Oto „Ave Maria” Schuberta odsoniła nam jaskrawie ohydę zła ludzkiego.

Dzisiaj atoli, kiedy wędruję w Rzymie od jednego węgła ulicy do drugiego węgla, żeby spojrzeć na majolikową Madonnę w wieżu na skrzydłach główek anielskich na uskrzydłonych kamienicy, kiedy patrzę na Madonnę, unoszącą się w błękity z kolumny Konstantyna czy na Piazza di Spagna, i kiedy patrzę w trawie sklepową, i kiedy patrzę oczyma smukłą, drobną Madonnę, wyrzezaną z białego drzewa lipowego, a podobną do westchnienia dziecka, kiedy patrzę, jak brzydka baba całuje końce palców, którymi dotknęła w pokorze stopy marmurowej Madonny w Santa Pressede i kiedy nawet słucham zdumiony słodkiej melodii „Ave Maria” Schuberta, granej w rotundzie terenów Dioklecjana, jako ilustracja muzyczna do filmu, przedstawiającego kanarzystę, siedzącą na ajkach, kiedy nawet melodię tę słyszę w restauracji hotelowej, graną podczas obiadu — nie zniżam się już, nie buntuję zgorzkniałym, lecz uśmiechem, jak uśmiechała się tamta rozanielona przekupka, gruba i brzydka, wychodząca z ucieszonym sercem spod stóp Madonny w Santa Pressede.

GUSTAW MORCINEK

Otwarcie wystawy w Aleksandrii

OD REDAKCJI

Począwszy od bieżącego numeru „Parada” zawierać będzie specjalny dodatek p. n.: „Gdzie Jesteś?” — z wykazem osób poszukiwanych za pośrednictwem Centrali Poszukiwań PCK (Polish Forces M. E. 55).

Redakcja jeszcze raz przypomina, że wszelkie zapytania w sprawie osób poszukiwanych należy kierować wprost do Centrali Poszukiwań PCK, a nie pod adresem „Parady”.



Po odprawieniu nabożeństwa w jednym z obozów Polskich Sił Zbrojnych na Śr. W., J. E. biskup Sawa w towarzystwie Dowódcy Jedn. Wojska na Śr. Wsch. gen. bryg. J. Wiatra i żołnierzy wyznania prawosławnego

Na Śr. Wschód przybył ostatnio z Londynu biskup kościoła prawosławnego Polskich Sił Zbrojnych J. E. ks. Sawa. Biskup wojny J. E. ks. Sawa był biskupem diecezji Grodno i Nowogródek. W czasie swojego pobytu w Kairze wysoki Dostojnik złożył wizytę Patriarsze prawosławnemu Egiptu Christoforosowi. Następnie J. E. biskup Sawa odwiedził ośrodki wojska polskiego i ludności cywilnej na Środkowym Wschodzie. Po wizytacji oddziałów wojskowych w Egipcie udał się do Palestyny i Libanu. J. E. biskup Sawa, uczestniczył niedawno w ceremonii chrztu syna króla jugosłowiańskiego Piotra II.

J. E. biskup Sawa w towarzystwie Patriarszy prawosławnego Egiptu Christoforsa przed katedrą prawosł. w Kairze

ART CLUB

W Aleksandrii odbyła się wystawa obrazów Art Clubu Włoskiego i nowozałożonego Aleksandryjskiego, zorganizozonego przez artystę malarza 2 Korpusu Józefa Jaremę. Protektorat nad wystawą objęli gubernator i Prezydent Aleksandrii. Wystawie towarzyszyły prace znanych malarzy włoskich, kilkunastu malarzy miejscowych i Jaremę.

Art Club, założony z inicjatywy Józefa Jaremę przez polskich artystów z 2 Korpusu i Włochów jest międzynarodowym stowarzyszeniem malarzy i krytyków sztuki, organizowanym na wzór Pen Clubu. Zadaniem jego jest ściślejsze więzi kulturalnych między narodami, a kryterium przy dopuszczaniu nowych członków jest poziom ich twórczości.

W swej podróży po Śr. Wschodzie art. mal. Józef Jarema zorganizował Art Club'y w Aleksandrii, w Tel Avivie i w Kairze, w najbliższym czasie wystawy.



Nr 21 (część I) WYKAZ OSÓB POSZUKIWANYCH

Centrala Poszukiwań PCK (Polish Forces M. E. 55) ogłasza dwudziesty pierwszy kolejny Wykaz Osób Poszukiwanych. Pierwsze nazwisko oznacza osobę poszukiwaną, drugie nazwisko — osobę poszukującą.

Poszukiwany: **Poszukujący:**

ADAMCZYK Teofil Adamczyk Jadwiga
Adamiak Leopold, 1904 Adamiak Wład.
Aisowska Aniela Jankowska Władysł.
Albiniak Marian, 1915 Urbanek Jan
Anańko Julian Olsiewicz Witold
Andrzejczak Franciszek Cebula Jan
Apanel Jadwiga Apanel Bernard
Augustyn Wiktor Drajwa Józef
BABIŃSKI Henryk Babińska Sabina
Balas Stanisław Balas Bolesław
Ballon Józef, 1923 Ballon Alfons
Banaszek Stefania Krajewski Konst.
Barański Eustachy Barańska Gizela
Bartosz Janina Bartosz Bolesław
Bednarek Mieczysław Bykowski Czesł.
Bekas Maria Śliwińska Eugenia
Bernycki Andrzej Adamciewicz Jadw.
Betkiewicz Konrad Radomski Kazim.
Bialik Józef Kubis Stanisław
Białecki Jan Kozłowski Antoni
Białoszewski Miron Kesik Tadeusz
Bielski Jerzy, 1914 Bielska Maria
Biełusiak Wasyl Biełusiak Michał
Biernacka Lena Kuźmicki Zbigniew
Biuro Rozalia, 1910 Morawa Henryk
Blanciak Józefa, 1897 Blanciak Józef
Błaszczak Jan, 1912 Błaszczak Alfred
Blądziński Feliks, 1922 Selke Franciszek
Błoszyk Alfred Henr. Eckert Miecz.
Bobiejczuk Anna, 1926 Tułacz Anna
Bobrowicz Jerzy Onufrów Michał
Bobrowska Janina Bobrowski Stefan
Bochniak Jan Bochniak Adam
Bogowicz Aleksander Stodulska Kryst.
Bogusławski Jan Rodziewicz Romuald
Bogusz Józef, 1915 Urbanek Jan
Bohdziewicz Wojc. Bohdziewicz St.
Boksa Józef Kopjas Stefan
Bolewska Eugenia Brzostek Alfred
Bolina Franciszek Kowalewski Józef
Bonna Józef Bonna Stanisław
Boraczynski Tad. Kucharski Marian
Borowiec Stanisław Lachowicz Zym.
Borsuk Józef, 1912 Ferenc Stanisław
Boryczewska Olga, 1925 Boryczewski M.
Boryniec Wiekosław Boryniec Antoni
Borys Henryk Borys Franciszek
Botor Emanuel Starzycki Bernard
Braun Jerzy Puchała Zygmunt
Breza Lucjan, 1922 Breza Jan
Brodowski Jan Kowalski Eugeniusz
Broll Ernest Stroba Franciszek
Brożek Jan Beben Eleonora
Bruks Leszek Bruks Feliks
Bruliński Aleks. Nalepa Tadeusz
Bruske Edward, 1923 Zakrzewski Wład.
Bruzi Antoni Majchrzak Wład.
Brycha Edward, 1915 Gajewski Leon
Brzeski Lech Działowski Jerzy
Brzeżański Henryk Marek Jan
Brzoska Antonina Brzoska Paweł
Brzosko Tytus Jerzy Brzosko Janina
Brzótko Adam Janowski Miecz.
Bucki Edward, 1924 Bucki Anatol
Byrski Jan Tomalik Ambroży
Bzdęga Stanisław Majchrzak Wład.
Bzowski Jan Netkowski Edward
CEBULA Bernard Czerwonik Czesław
Celichowski Zym. Drewnowski Stan.
Charatan Jadwiga Doliner Jerzy
Chmielowiec Franciszka Fedyszyn Jan
Chochberger Anna Fuczko Andrzej
Chowaniec Marcin Cichy Paweł
Chromik Eryk Chromik Leon
Cichy Stanisław Niezurawski Henr.
Cieślar Karol Cieślar Józef
Ciline Aleksander Budrewicz Jan
Cybulski Stanisław Sergey Roman
Czajkowska Maria Dąbrowska Maria
Czarnowska Maria Czarnowski Czesław
Czeszyk Władysław Czeszyk Marcin
Czuba Zbigniew Wieczorek Jan
Czak Edward Czak Leonard
Czyżyk Jan Czyżyk Mikołaj
Ćwikliński Jan. Ćwikliński Maksymilian
DACZKOWSKI Bronisł. Zygadło Aleks.
Deja Gdaniec Józef
Delert Angnieszka, 1916 Doman Rysz.
Dębska Zofia, 1925 Dębski Jan
Długosz Aloj. 1925 Długosz Teodor
Dobrowiecka Eug. Dobrowiecki St.
Dobrzyński Marian Marek Jan
Draczyński Jerzy Draczyński Bened.
Drozdowski Albin Druszcz Wincenty
Dudkowiak Józef Kowalski Eug.
Dworakowski Kazim. Dworakowska Dina
Dzienniak Leon Dzienniak Felicia
Dziubecki, prof. Benda Stanisław
Dzwonkowski Karol Brzostek Alfred
GAŁA Bronisław, 1910 Gała Bolesław
Grabowska Janina Białokoz Józef
Grała Grała Andrzej
Grela Wojc. 1890 Grela Kazimiera
Grochoczyńska Kaz. Grochoczyński Wład.

Poszukiwany: **Poszukujący:**
Gromyka Serg. Stupkiewicz Wiktoria
Grozka Bernard Michna Klemens
Gruner Julian Oruner Adela
Gruszecka Maria, 1917 PCK
Orygiel Maria, 1900 Orygiel Halina
Grzęda Maria, 1915 Grzęda Ignacy
Grzywak Władysław Dłubis Maria
Guza Bronisław, 1919 Guza Kurt
Gusowska Maria Jakubowski Henryk
Guss Maksymilian Guzowski Alfons
Guziak Halina, 1922 Guziak Jerzy
Gwardys Kazimiera Gwardys Eugeniusz
Gwóźdź Wilhelm Seget Jerzy
HAAKE Henryk i Janusz Krowicki Lud.
Hańczak Józef Balicki Eryk
Handke Stan. Leonard Handke M.
Hardas Maria Tomalik Ambroży
Hebda Teofil Starcewska Maria
Heiduczek (Heiduczka) Feliks Urbacz T.
Heluska Marcelei Heluska Antoni
Hickiewicz Irena Gawalewicz Wiesław
Hirny Jan, 1892 Hirna Józefa
Hojka Sylwester Hojka Jadwiga
Hołyński Bronisław Miller Władysław
Hoppe Ludwik Tugendreich Lucjan
Hulecki Jan Hulecki Leon
Hurny Bolesław Roskosz Maksymilian
IDZIK Aleksander Idzik Jerzy
Imińska Krystyna Zygmunt Zbigniew
Iskra Andrzej Iskra Julian
Iwanio Paulina Iwanio Stanisław
Iwaskiewicz Antoni Iwaskiewicz Józef
JABŁONOWSKI Janusz Witold
Jagła Katarzyna Jagła Walenty
Jakubas Jan, 1907 Jakubas Bron.
Janicki Kazim. Biernacki Władysław
Janowicz Leokadia Daszkiewicz Czesł.
Jarnicki Jan, 1912 Jarnicki Wład.
Jaworski Ryszard Osińska Weronika
Jung Tadeusz Błoiński Mieczysław
KACZMAR Józefa, 1922 Kaczmar Wład.
Kajder Tadeusz Kajder Stanisław
Kalend Krystyna Pilichowski Bohdan
Kamerke Józef Borkowski Leon
Kania Mary Homan Stanisław
Karausz Teodor Karausz Maria
Karnecka Janina Bochniak Adam
Karykowski Edw. Gozewski Józef
Kattner Marcin, 1908 Kattner Józef
Kazimierski Julian Marek Jan
Kendra Zdzisł. 1914 Kendra Eugeniusz
Kędziński Wład. Ciach Stefan
Kijewska Jadw. Kijewscy J. W.
Kijewska Tad. 1926 Piech Józef
Kiszka Józef Bieliński Wład.
Kłetak Łódzia Klus Zenon
Klus Tadeusz, 1924 Klus Zenon
Kocięcki Stefan Kocięcki Andrzej
Kotkowski Marian Kotkowski Miecz.
Kowalski-Berestowski Zbign. Wł. 1921 Kowalscy Natalia i Władysław
Koza Józef, 1921 Gierlotka Franciszek
Krausowa Janina „Miśka”
Kubiak Stanisława Kubiak Stefan
Kunikowska-Frydrych Ant. z dziećmi Kunikowski Franciszek
Kwasieberski Jan Sobieszczańska Hanna
LANGOWSKI Jan Baszanowski Jan
Ledzińska Jadwiga Misiak Czesław
Leonis Wład., 1919 Poll Stefan
Lewandowski Jerzy Niezurawski Henr.
Lichwa Janina Lichwa Józef
Liśkiewicz Genowefa Meisel Paweł
Lubański Kazim. Życiński Zdzisław
MAJDUCH Helena Majduch Marian
Marchlewski Paweł Bobowski Miecz.
Milczak Zym. 1920 Milczak Kazim.
Młodecki Józ. lat 50 Parylak M.
Moszczyński Jerzy Bienkowski Jerzy
Mrozowski Brunon Kapłonek Erwin
Musiolik Jan Ogórek Antoni
NAPIERSKI Franc. Napierski Bron.
Nawara Egen. 1923 Kurbiel Maria
Nekanda-Trepka Witold PCK
Nikodemka Wiesława Solecki Witold
Niwiński Tad. Horodyński Wład.
Nowakowski Zym. Chrzczonowicz Wit.
Nowińska Stanisława Łozińska Bron.
OBRY Weronika, 1907 Wilk Jan
Ogarek Franciszek Michał PCK
Olipra Jan Olipra Wojciech
Olko Antoni, 1920 Olko Jan
Opalińska Janina Figołuszka Józef
Orzewski Zygmunt Gofron Miecz.
Orzeł Halina Majlich Zenon
Osadnik Konrad, 1925 Osadnik Jan
Osychowski Jerzy Aplos Edward
Owoc Marian Kaznowski Adam
PACIORKOWSKI Bron. Edm. Paciorkowska Aleks.
Pakulla Ella Aleksa Hubert
Pałucki Zbigniew Pałucki Stefan
Paprotka Jan, 1902 Waślik Józef
Paradowska Halina Czyszczon Stan.
Parzonko Czesław Parzonko Tad.
Patek Halina Kubina Władysław
Patok Stefan Kowalski Ksawery
Pawlak Stanisław Pawlak Stanisława

Poszukiwany: **Poszukujący:**
Pawłowicz Bohdan Pawłowicz Irma
Perkowski Kazim. Jaremczuk Wład.
Philipp Elżbieta Philipp Ludwik
Pielecki Władysław Gołubski Jan
Piestrak Michał Piestrak Karol
Pilot Gerhard, 1925 Pilot Edmund
Piór Marta, 1895 Piór Henryk
Plutowski Kazim. Zieliński Zygmunt
Podzień Karol Piech Józef
Podolski Bolesł. Podolska Jadwiga
Pogonowski Zdzisław, lat 61 Pogonowski Bolesław
Pohorecki Bolesł., 1878 Pohorocka Jadw.
Pokrandt Bolesława, 1903 Urszula
Polak Helena, lat ok. 32 Polak Maria
Poleszczyk Halina, 1922 Poleszczyk Jan
Polikowska Maria, 1908 Polikowski Paw.
Popławska Katarz., 1898 Popławski
Popławski Józef Popławska Irena
Poręba (Podęba) Jan Podęba Teodora
Powieczko Jan, Genowefa, Anastazja, Rudolf, August., Alojzy
Poznań Maria, 1925 Powieczko Józ.
Preintl Hugo, Sydonia Preintl Bogusław
Prewendar Czesław Prewendar Stan.
Prezentkiewicz, w. Tesłuków Prezentkiewicz Halina
Prochowski Jan Józ. 1901 Prochowska An.
Prodzińska (Prądyńska) Jadwiga Witkowska Stanisława
Prośniewski Jan, 1920 Prośniewski Walen.
Prudel Franciszek, 1912 Prudel Stan.
Pruss Wit. 1913, Stef. 1911 Pruss Edm.
Pruszyńska Helena, 1908 Pruszyński And.
Przewoźnik Oskar, 1922, Ludwik, 1920 Przewoźnik Teofil
Przybyło Antonina, lat 40, Wojciech, 1897
Przybyła Marian
Przygocka-Lawrentiówna Eugenia, 1923
Przygocki Jan
Psuty Feliks, 1893 Psuty Antoni
Pszczółka Helena, 1919 Pszczółka Norb.
Pucha Józef brat Jan
Puchała Ryszard, 1901 Puchała Jerzy
Pyszniak Wiktor Pyszniak Juliana
Pyszny Jan, 1922 Pyszny Henryk
RABINOWICZ Icek Mojżesz Rabinowicz Abram
Radliński Wiktor Ochotnicki Stefan
Rajski Kaz. 1908, Leon, 1894 Rajski I.
Raszkiewicz Brunon Raszkiewicz Stan.
Rduch Ernest, 1926 Rduch Albert
Rejman Maria, 1903 Rejman Władysław
Remz Israel, 1907, Genia, 1910, Stysia, 1885, Hirs, 1876
Remz
Rewienko Kazimierz Poleszczuk Helena
Rogowski Piotr, 1916, Bronisław, 1904
Rogowski Franciszek
Rosmus Józef Rosmus Wład.
Rossa Antoni, 1898, Antonina, 1898, Lidia, 1934
Rossa Henryk
Rotter Marcin, lat 30 Rotter Fanne
Różański Władysław, 1917 Różański Józ.
Rubinsztein Pinie, 1901 Rubinsztein
Ruchaj Aniela z córkami Ruchaj Wład.
Rudzka Irena Rudzki Czesław
Rufenach Irma Rufenach Jerzy
Rulik lub Ralik Kazimierz, 1923 Rulik lub Ralik Bolesław
Rychliński Stanisław, 1917, Władysław, 1915
Rychliński Witold
Rydz Adela, 1913 z synkiem Rydz Julian
Rygal Maria, 1924 Rygal Mikołaj
Rymbarczyk Tadeusz i Wład. Rymbarczyk Jan
Rynkiewicz Józef PCK New York
Rzyboś Karol i Adolf Rzyboś Ludwik
SALA Julian Sala Franciszek
Saleman Zygmunt Korngold Fritz

Poszukiwany: **Poszukujący:**
Sanecka (Senecka) Stefania Sanecki Józ.
Sawicka Maria Sorokiewicz Zdzisława
Sąsiedzi Tad. Sąsiedzka-Lisowska Maria
Schmidt Mieczysław Schmidt Emilia
Schütz Maks, 1895, dr. Sarnecka Ewa
Sieńko Adolf Bać Maciej
Skirmunt Stanisław Skirmunt Róża
Smoliński Zygmunt, 1913, Irena, 1919
Smolińska Aniela
Sołohub Witold Sołohub M. T.
Stankiewicz Stanisł. Stankiewicz Józefa
Starnecki Jerzy Starnecka Jadwiga
Staryk Władysław Staryk Anastazja
Suchodolski Jerzy Suchodolska Irena
Sulisz Józefa Sulisz Józef
Suski Adam Kozielski Leon
Szabuniewicz Zbig. dr Kamieniecki Jul.
Szala Rudolf, 1923 Szala Edward
Szczęśny Teofil, 1895 Szczęśny Bohd.
Szełończyk Abram i Bela Stern N.
Szewczyk Regina Szulc Edmund
Sznapka Marta, 1908 Mackiewicz St.
Szostek Leon, 1920 Przerada Wiktor
Szreder Leon Szreder Jan
Sumigalski Jan Wacł. Sumigalski Wład.
Szuścik Juliusz, 1925 Szuścik Leon
Szydłowska Irena Fabrycy Jadwiga
Szydło Anna Szyszko-Bohusz Janina
Szyszkowski Wacław Bóbr Wanda
ŚCISŁOWSKI Stan. Jeżak Antoni
Siedzińska Maria Andryszewski Miron
Sliwiak Piotr Kuśnierz Jarosław
Sliwowska Teresa Skowrońska Maria
Służaek Wacław Służaek Stan.
Sniegocka Wanda, 1929 Trafisz Jerzy
Vogel Zbigniew Vogel Stanisław
WALCZAK Bolesław Kucharski Józef
Wanot Józef, 1927 Wanot Ludwik
Wiadero Halina Tałas Zbigniew
Wieroński Kazim. Czapliski Witold
Wilczek Michał, 1907 Kowal Jakub
Wilczko Anna Kowal Jakub
Wildyman Alfons Maks Szedler Herm.
Wilkanowski Stan. Wilkanowski Cz.
Witkowski Wiktor Klimczak Karol
Wratny Andr. 1928 Wratna Zofia
ZACHAR Edm., 1926 Zachar Leonard
Zachorenko Albert Bobrownicki Jan
Zastawny Jan, 1920 Zastawny Antoni
Zator Jan, 1926 Baszanowski Jan
Zawiszewska Janina Arndt Bolesław
Zawiszewski Józwa Arndt Bolesław
Zdunkowski Jan, 1925 Zdunkowski Wł.
Zdrzałek Emanuel Zdrzałek Alojzy
Zegarska Irena Becker Kazimierz
Zochniak Mieczysława Fiks Janusz
Zych Alfred, Józef Zych Jerzy
Zych Aleksandra Zych Jerzy
Zytek Zbigniew Król Kazimierz
ŻABICKI Edmund Żabicki Wojciech
Zabielska Waleria Modelski Izidor
Zak Władysław Centkowski Marian
Zakowicz Fr., Fel., Jan Zakowicz Jan
Zarnecki Bolesław Osiński Bronisław
Zebracka Luba z dziećmi Zebracki Ant.
Zebrowski Paweł Zebrowski Wład.
Zebrowski Piotr Majętny Karol
Zmizdińska Irena Zmizdiński Jerzy
Zołdek Witold Szejka Henryk
Zółkiewski Wład. Sakowicz-Kowalska R.
Zukowski Józef, Melania Jankowski Roman
Zułtowska Krystyna Kin Karol Jan
Zyliński Wład. Zyliński Karol
Zynel Janina Szerszeń Kazimierz
Zyski Maks Mechliński Franciszek
Zywar Kazimierz Górecki Władysław
Zywiecki Jan Rogowski Jan

Osoby, które odnajdą swe nazwiska w niniejszym Wykazie Nr 21 (Cz. I), zechcą zwrócić się listownie do Centrali Poszukiwań PCK (Polish Forces Middle East 55), posługując się następującym wzorem pisma (można wyciąć, wypełnić i przesłać)

Do CENTRALI POSZUKIWAŃ PCK NA ŚR. WSCH. Polish Forces M. E. 55

1. Z Wykazu Nr 21 (cz. I) Centrali Poszukiwań PCK, ogłoszonego w Nr 4 (74) „Parady”, dowiaduję się, że jestem poszukiwany (wypełnić literami drukowanymi)

Moje nazwisko, imię i ew. stopień.....

Rok i miejsce ur..... Imiona rodziców.....

Mój adres.....

2. Jednocześnie załączam Postal Order, wystawiony na imię: „Centrala Poszukiwań PCK” w wysokoścish (szylingów) tytułem dobrowolnej ofiary na rzecz akcji poszukiwań PCK.

Data..... Podpis.....



*Renée
Asherson*

*w filmie
n. t.*

Henryk V